EPOKA

ROK V. Warszawa, 5 lipca 1938 r. Nr 19 (122)

W rocznicę deklaracji niepodległości

Słowa zamieszczone poniżej wypowiedziane zostały po raz pierwszy przed stu sześćdziesięciu laty.

Kiedy wytworni filozofowie w salonach „Ancien Régime'u" wypowiadali swe „światoburcze" teorie, nie spodziewali się, że przemówią one wnet mową kul i szabel w dalekich puszczach Ameryki. Nie sądzili chyba, że ich tomy dotrą do blokhauzów anglosaskich kolonistów, by zamienić się tam z salonowych paradoksów w ostrą ideologiczną broń nowego, budzącego się do życia świata. W dalekiej Ameryce po raz pierwszy przemówiła nowoczesna demokracja. W twardych słowach „Deklaracji Niepodległości" brzmi już nuta, która rozebrzmi pełnym dźwiękiem w „Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela", która zahuczy gromem u bram Bastylii. Dlatego nikt, kto śledzi rozwój myśli demokratycznej w świecie naszej cywilizacji nie może pominąć dnia 4 lipca.

Z DEKLARACJI NIEPODLEGŁOŚCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH (UCHWALONEJ DNIA 4 LIPCA 1776):

„POCZYTUJEMY ZA PRAWDĘ, KTÓREJ DOWODZIĆ NIE TRZEBA: ŻE WSZYSCY LUDZIE SĄ STWORZENI RÓWNYMI, ŻE STWÓRCA ICH NADAŁ IM PEWNE PRAWA NIEUNICESTWIALNE; ŻE TAKIM JEST PRAWO DO ŻYCIA, PRAWO DO WOLNOŚCI I PRAWO DO DĄŻENIA DO SZCZĘŚCIA. A DALEJ, ŻE TO CELEM ZABEZPIECZENIA TYCH PRAW LUDZIE USTANOWILI RZĄDY, KTÓRYCH WŁADZA USPRAWIEDLIWIA SIĘ PRZYZWOLENIEM RZĄDZONYCH. DALEJ, ŻE KIEDYKOLWIEK DLA TEGO CELU JAKABĄDŹ FORMA RZĄDU STAJE SIĘ ZGUBNA, LUD MA PRAWO ZMIENIĆ JĄ LUB ZNIEŚĆ JĄ I USTANOWIĆ NOWE RZĄDY, OPIERAJĄC ICH PODWALINY NA TAKICH ZASADACH I ORGANIZUJĄC WŁADZE RZĄDOWE W TAKI SPOSÓB, JAK MU TO SIĘ WYDAJE NAJBARDZIEJ PRZYDATNYM DLA BEZPIECZEŃSTWA I SZCZĘŚCIA SWEGO... A KIEDY DŁUGI SZEREG NADUŻYĆ I PRZYWŁASZCZEŃ, DĄŻĄCYCH NIEZMIENNIE W JEDNYM I TYM SAMYM KIERUNKU, UJAWNIA ZAMIAR NARZUCENIA OBYWATELOM SAMOWŁADNEGO DESPOTYZMU, WTEDY MAJĄ ONI PRAWO, MAJĄ OBOWIĄZEK NAWET OBALIĆ TAKI RZĄD I USTANOWIĆ NOWE RĘKOJMIE DLA BEZPIECZEŃSTWA SWEGO W PRZYSZŁOŚCI..."

„MY, PRZEDSTAWICIELE STANÓW ZJEDNOCZONYCH, ZEBRANI NA KONGRESIE, POWOŁUJĄC NAJWYŻSZEGO SĘDZIEGO ŚWIATA NA ŚWIADKA UCZCIWOŚCI NASZYCH INTENCJI, UROCZYŚCIE OGŁASZAMY I OŚWIADCZAMY, ŻE TE ZJEDNOCZONE KOLONIE SĄ I SŁUSZNIE POWINNY BYĆ, WOLNYMI I NIEZALEŻNYMI PAŃSTWAMI".

Dla narodu polskiego dzień ten jest szczególnie bliski. Przecież i Polacy krwawili wtedy pod gwiaździstymi sztandarami. Przecież oddał pod tymi sztandarami swe młode życie Pułaski. Przecież Naczelnik Kościuszko właśnie tam, pod znakiem Washingtona i Jeffersona, nabrał tych głęboko demokratycznych przekonań, których niestety nie mógł, przez zaślepiony opór szlachty, doprowadzić do zwycięstwa w Ojczyźnie. Narodziny demokracji amerykańskiej, narodziny nowoczesnej demokracji europejskiej wiążą się

tu jedną wspólną nicią z narodzinami — jeśli nie demokracji, to w każdym razie myśli demokratycznej w Polsce.

Dzień 4 lipca jest świętem narodowym wielkiej demokracji zza Oceanu, która i w dzisiejszych „czasach pogardy" jest jednym z jasnych punktów na horyzoncie naszego świata. I dziś, jak przed laty stu sześćdziesięciu toczy się tam, za Oceanem, walka o przyszłość Nowego Świata, walka współdecydująca, obecnie bardziej jeszcze niż wtedy, i o losach naszego, Starego Świata. Zwycięstwo czy klęska, dalsza rozbudowa lub kapitulacja Nowego Ładu będzie miała poważne znaczenie nie tylko dla losów milionów Polaków w Stanach Zjednoczonych, nie tylko dla Ameryki. Będzie jednocześnie ona jednym z ważnych czynników w ogólno światowej walce demokracji z totalistyczną nawałą.

Bo nie tylko wewnętrzne reformy Stanów posiadają dziś wielkie znaczenie dla światowej demokracji. W chwili, gdy złowroga „oś" coraz gwałtowniej prze ku wojnie, ku nowym agresjom i podbojom, stanowcza, demokratyczna, gotowa do obrony pokoju, polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych nabiera bodaj nie mniejszej wagi. Wiele przemawia za tym, że wielki naród amerykański powoli, ale coraz bardziej zdecydowanie przechyla się na stronę czynnej polityki pokojowej u boku innych mocarstw demokratycznych.

Jeśli tak jest, to nie mała w tym zasługa starej demokratycznej tradycji, tej tradycji, której symbolem jest Deklaracja Niepodległości. Nie mała to rzecz, jeśli każdy obywatel wie, że śmiertelnym wrogiem jego ojczyzny jest „samowładny despotyzm", że przeciw temu despotyzmowi bunt jest nie tylko prawem, ale i obowiązkiem obywatela. Nie mała to rzecz, szczególnie dziś, kiedy czarne plamy dyktatur gęsto pokrywają mapę Europy...

Z DNIA NA DZIEŃ

ZDROWE I ZATRUTE WITAMINY

Prasa codzienna doniosła, że wielkie firmy kolonialne w Warszawie na zamówienie zagranicznych placówek dyplomatycznych przesyłają do Berlina paczki żywnościowe, zawierające głównie masło i jajka.

Jednocześnie prasa ta podała, że z polecenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych uległy konfiskacie trzy książki niemieckie, wydane w Berlinie a sprzedawane w Polsce. Książki te, napisane przez dr Wabe i dr Rudolfa, zawierały treść antysemicką, sprzeczną z naszym kodeksem karnym, zakazującym podburzania jednej części ludności przeciw drugiej. Władze nasze skonfiskowały około 10 tysięcy egzemplarzy tych dzieł wiekopomnych.

Taka oto jest prawdziwa wymiana towarów: my posyłamy do Berlina masło i jaja, wzamian zaś otrzymujemy z Berlina dzieła ducha dla pokrzepienia serc i wzbogacenia umysłów. My posyłamy witaminy, zdrowe i odżywcze, nam zaś przysyłają towary zepsute i aż tak cuchnące, że Min. Spraw Wewnętrznych zmuszone było je skonfiskować, aby nie zatruwały powietrza polskiego. Słusznie. Mamy wystarczającą ilość hitlerowskiej literatury, wyrabianej w kraju i w języku ojczystym. Ale to już jest inna sprawa.

BYŁY TO INNE CZASY

Pan Wojciech Wasiutyński zwiedza Słowaczyznę i nadsyła swoje spostrzeżenia do „Prosto z mostu". Pan Wojciech Wasiutyński, jeden z czołowych teoretyków ONR, rozumie widocznie wcale nieźle tło polityczne modnych dziś reakcyjnych ruchów nacjonalistycznych. Orientuje się w kulisach roboty „narodowej" na Słowaczyźnie — i o dziwo, potwierdza to, cośmy niedawno powiedzieli o źródłach słowackiego separatyzmu. Czytelnicy nasi pamiętają, że nie dawno podkreślaliśmy na tym miejscu prowęgierski, madziaroński charakter hlinkowskiej roboty. Posłuchajmyż pana Wasiutyńskiego. Oto w jaki sposób nasz podróżnik - nacjonalista dowiedział się prawdy:

„Stało się to, gdy pewien starszy Węgier oświadczył mi:

— Ach panie, ten cały ruch polityczny słowacki, to my Węgrzy, my sami zrobiliśmy. Przecież taki Stuhr był Węgrem!"

Oczywiście Stuhr był uczciwym patriotą. I były to inne czasy. Hlinka i Sidor, menerzy politycznego madziarońswa w roku 1938, są już tylko pionierami Mitteleuropy.

RODZIMYM HITLEROFILOM DO SZTAMBUCHA.

„Kurier Warszawski" donosi, że w kraju sudeckim agitatorzy hitlerowscy kolportują wśród ludności niemieckiej następującą modlitwę:

„Hitlerze! Ojcze Wszechniemiec, który siedzisz w głównym stołecznym mieście Berlinie, święć się imię Twoje u nas i u wszystkich narodów miłujących pokój(!). Przyjdź do nas i weź nas pod swoją opiekę do Rzeszy. Niech się stanie wola Twoja tak w Rzeszy, jak i u nas, którzy ufamy Tobie. Daj nam chleba codziennego razem z pracą. Odpuść nam nasze winy, żeśmy przed tym nie poznali się na Tobie, i nie wódź nas na pokuszenie, nie daj nam na Siebie długo czekać, ale wybaw nas rychło z tego czeskiego zła. Niech będą pochwaleni Twoi współpracownicy, Goebbels i Goering. Niech Bóg będzie z Wami i niech błogosławi Wasze czyny i niech błogosławione będzie wszystko, co czynicie. Prosimy Boga, aby wkrótce już nadeszła godzina, gdzie my, Niemcy sudeccy, połączymy się z Twoją Rzeszą".

Tę bluźnierczą imitację chrześcijańskiego „Ojcze nasz" — naszym pseudokatolickim hitlerochwalcom do sztambucha. Ze stanowiska polskiej racji stanu interesujące są jednak metody, przed którymi nie cofa się aneksjonistyczna propaganda Trzeciej Rzeszy, propaganda godząca bezpośrednio w całość i niepodległość państw z Niemcami sąsiadujących! Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że nie tylko Czechosłowacja jest

dziś obiektem zaborczych apetytów odrodzonego imperializmu wszechniemieckiego. Wszędzie, gdzie istnieją mniej lub więcej liczne mniejszości niemieckie, agentury hitlerowskie jawnie i skrycie organizują wśród nich reakcyjne żywioły pod swym sztandarem, czyniąc z nich placówki i posterunki w tradycyjnym „Drang nach Osten". Mniejszości niemieckie, złożone przeważnie z drobnych i średnich rolników, robotników, rzemieślników i pracującej inteligencji — wyniszczone powszechnym kryzysem gospodarczym, odizolowane od demokratycznego ruchu wśród reszty obywateli, stanowią grunt, na którym nie przebierająca w środkach robota hitlerowskich agentur rozwija się z coraz większym rozmachem. Przecież gospodarcze i społeczno - kulturalne instytucje mniejszości niemieckich opanowane są przez bardzo wpływowe grupy reakcyjne, reprezentujące interesy wielkich potentatów którzy w Polsce, Danii, krajach bałtyckich odgrywają niepoślednią rolę w życiu gospodarczym kraju i są tysiącem nici powiązani z potentatami narodu panującego! Nic tedy dziwnego, że inspirowana i organizowana przez reakcyjne żywioły niemieckie robota hitlerowska spotyka się z życzliwym poparciem lub conajmniej przychylną tolerancją kół antydemokratycznych całego kraju. I rzecz jasna, że tylko demokracja może skutecznie przeciwstawić się hitlerowskiemu naporowi na kraje, sąsiadujące z Trzecią Rzeszą. Tylko demokracja może podać bratnią dłoń terroryzowanym i zmuszanym do milczenia uczciwym, demokratycznym żywiołom wśród mniejszości niemieckich, bo tylko demokracja przychodzi do ludności niemieckiej z programem równouprawnienia obywatelskiego. Mniejszość niemiecka, która dzięki skutecznemu oddziaływaniu obozu demokratycznego poczuje się równouprawnioną w państwie grupą obywateli, przestanie jednocześnie być podatnym gruntem dla antypaństwowej roboty hitlerowskiej agentur.

SYGNAŁ PRZESTROGI

To, co każdy demokrata nieustępliwie i niezmiennie głosi co dnia jako nakaz polskiej racji stanu i rozumu politycznego, znalazło wyjątkowo swój wyraz i jasne sformułowanie w prelekcji, wygłoszonej przed mikrofonem katowickiej rozgłośni. Dr Kostka, wyższy urzędnik Województwa Śląskiego swoje odczyty, poświęcone zagadnieniom mniejszościowym, zakończył tymi słowy: „Trzeba nie zapominać o tym, że tak jak w wieku 18, tak i dziś sprawa mniejszościowa jest nie tylko sprawą wewnętrzną Polski, ale i niestety bardzo niebezpiecznym instrumentem w polityce pewnego mocarstwa. Pisze zresztą o tym i prasa, że sąsiadowi naszemu bardzo zależy na tym, aby rozsadzić młody organizm polski, aby skłócić nas wewnętrznie i wreszcie aby sprawą żydowską przesłonić problem o wiele ważniejszy i trudniejszy, mianowicie problem wychowania: moralnego, zawodowego i militarnego narodu polskiego".

Komu nie szczepiono malarii psychicznej i kto może oceniać przytomnie zdradzieckie sposoby rozstrajania naszego życia według dalekosiężnych planów wyznawców Wotana, ten ujrzy w wywodzie powyższym sygnały przestrogi, przesłane drogą radiową na całą Polską. Tylko w gniazdach i siedliskach, opanowanych przez tę bagniskową chorobę na dźwięk tych sygnałów ostrzegawczych z wściekłością zatrzaśnięto głośniki. Dlatego cicho o tym w krecich chodach naszej hitlerowskiej propagandy.

Na Śląsku Opolskim gorzej niż za Bismarcka

Pod takim tytułem opisuje IKC tragiczne położenie ludności polskiej w hitlerowskim raju. Czy jest naprawdę gorzej, niż za Bismarcka? Oczywiście — jest gorzej dokładnie o tyle, o ile „nowoczesna" tyrania faszystowska jest gorsza od znanej staropruskiej reakcji junkierskiej, o ile faszyzm jest okrutniejszy i bardziej barbarzyński od staroświeckiego konserwatyzmu.

Nie trzeba jednak zapominać, że „gorzej, niż za Bismarcka" jest Polakom w Niemczech po paru latach najczulszej przyjaźni, po deklaracji mniejszościowej z listopada ub. r...

I jest w Polsce pewna prasa, która ciągle pisze o Zaolziu, lecz bardzo pobłażliwie patrzy na to, co się dzieje na Śląsku Opolskim, na Mazurach i w Warmii. Ale trudno się dziwić! „Z cytat w niemieckiej prasie można dostrzec coś nie coś: Z prasy polskiej „Kurier Poranny" i „Express" są faworytami urzędu p. Goebbelsa" — pisał niedawno płk. Grzędziński na łamach *„Czarno na białem"*.

Kto wie, jak prasa hitlerowska rozdziera szaty nad „tragedią" Niemców sudeckich, którzy w demokratycznej republice cieszą się pełnym równouprawnieniem, a milczy o naprawdę tragicznym losie Niemców południowo-tyrolskich, wynaradawianych przez faszyzm włoski z całą bezwzględnością i precyzją — ten niczemu się już nie dziwi. Kruk krukowi oka nie wykole — chociaż nawet niemieckie nazwiska Tyrolczyków teraz zamienia się przymusowo na włoskie!

Co powiedzą gnębieni w Niemczech i Austrii?

Papież przyjął w Castel Gandolfo ambasadora „narodowej" Hiszpanii i zapewnił go, że będzie się modlił za jej i jej „wodza" pomyślność. Dzieje się to w momencie, gdy dla nikogo po obu stronach linii podziału nie ulega już wątpliwości, że pan generał Franco jest tylko pospolitym kondotierem Mussoliniego i Hitlera! Dzieje się to w chwili, gdy cały świat cywilizowany ze zgrozą patrzy na straszliwe zbrodnie włoskiego i niemieckiego lotnictwa, które w imieniu pana generała tysiącami morduje bezbronną ludność otwartych, daleko za frontem położonych miast hiszpańskich! Cóż powiedzą gnębieni katolicy niemieccy i austriaccy, widząc, jak Rzym błogosławi beniaminka i wasala Hitlera?

Rzeczywiste i sfingowane piekło

„The New Statesman" donosi, że w Barcelonie podczas nalotu włosko-niemieckiego jedna bomba zabiła z górą dwieście ludzi. Uwaga! Bomba ta spadła na dach 7-io piętrowego domu i przebiwszy wszystkie wiązania i sufity wybuchła w suterynach, burząc cały gmach, jak domek z kart. Wszyscy mieszkańcy tego domu ponieśli śmierć: jedni podczas wybuchu wylecieli w powietrze, inni rozerwani zostali na strzępy lub zmiażdżeni pod górami gruzu. Bomby o takiej sile wybuchowej spadają na otwarte miasta republikańskiej Hiszpanii, siejąc zniszczenie i śmierć, nie oszczędzając nikogo, kto znalazł się w promieniu 45 metrów od miejsca wybuchu. Piwnice i maski gazowe nie zabezpieczają od śmierci, a Hiszpanie dowo-

dzą na podstawie dotychczasowego doświadczenia, że w czasie ataku lotniczego najniebezpieczniejszym schronem są właśnie piwnice, gdyż bomby przebijają z łatwością wszystkie podłogi i sufity każdego zwykłego domu i zawsze wybuchają w suterynach. Schron, mający być zabezpieczeniem przed bombami winien mieć betonowe ściany grubości conajmniej ośmiu metrów i grubą warstwę ziemi na wierzchu.

Opis powyższy daje wyobrażenie o grozie, którą szerzą „oswobodziciele" ludu hiszpańskiego, a gdy lud ten, doprowadzony do ostateczności zapowiedział retorsje wobec okrutnych najeźdźców, — międzynarodowa prasa goebbelsowska wznieciła obłudne piekło, imputując rządowi republiki zamiar bombardowania otwartych miast włoskich.

Tak wygląda moralność opiekunów i wielbicieli gen. Franco, mających pełne usta chrześcijańskiej miłości bliźniego, która milczy, gdy bomby włoskie i niemieckie sieją śmierć i zniszczenie wśród bezbronnej ludności, natomiast nie posiada się z oburzenia, na samą, jeszcze nie sprawdzoną zapowiedź obrony ze strony masakrowanych.

NA POCHYŁYM ZAKRĘCIE

Polityka Stronnictwa Pracy, które samo zalicza się do obozu demokratycznego, budzi coraz poważniejsze obawy właśnie z punktu widzenia interesów demokracji. W ostatnim numerze naszego pisma zwróciliśmy uwagę na szereg pociągnięć politycznych tego stronnictwa, bardzo dalekich od tego, czego należało by oczekiwać od ugrupowania demokratycznego. Uważniejsza obserwacja pozwala stwierdzić, że ten kurs (bo można już mówić o kursie) trwa i doznaje wzmocnienia. Czytelnicy nasi wiedzą, że nie kierujemy się w naszych ocenach ani pamięcią starych zatargów, ani też względem na istotne, bardzo głębokie różnice ideowe. Gdy swego czasu poważny organ tego obozu zarzucił nam, że za główne zadanie demokracji uważamy walkę z... religią i kościołem — odpowiedzieliśmy milczeniem. Kto bowiem zna linię polityczną „Epoki", wie, w czym widzimy główne zadania. Dla nas istnieją w tej chwili rzeczy o wiele donioślejsze niż sprzeczki z tą prasą katolicką, która oświadcza, że stoi na stanowisku demokratycznym.

Inaczej ma się sprawa ,gdy w prasie tej coraz częściej pojawiają się rzeczy, ze stanowiska demokracji niedopuszczalne, szkodliwe z punktu widzenia walki o swobody obywatelskie i prawa polityczne rzesz ludowych, korzystne jedynie i wyłącznie dla obozu antydemokratycznego! W czyim interesie są te napaści na PPS, które czytamy ostatnio w katowickim „Zwrocie"? Komu zależy na tym, by w obozie demokratycznym powstawały nieporozumienia i rozterki w tej samej chwili, gdy obóz reakcyjny gorączkowo poszukuje formuły konsolidacyjnej?

Ale w tym szaleństwie jest metoda. Prasa Frontu Morges wzięła otwarty kurs na wbicie klina między Stronnictwo Ludowe a PPS, dwa największe i najpoważniejsze odłamy polskiej demokracji! Przebieg obu świąt demokracji, majowego i zielonego, poszedł widocznie nie w smak nie tylko sanacji i endecji, ale także kierowniczym kołom Stronnictwa Pracy, które z równą złością powitały to zbratanie, jak wszystkie organy jawnej i zamaskowanej reakcji.

To nie wszystko. Prasa Frontu Morges zabiera się wyraźnie do cementowania antydemokratycznego bloku „opozycyjnego" złożonego z endecji, Stronnictwa Pracy i — marzenia ściętej głowy! — Stronnictwa Ludowego. Pierwszą jaskółką był w tym kierunku wywiad gen. Hallera. Potem przyszedł szereg drobniejszych wypadów prasowych w warszawskim i katowickim organie tego obozu. Przyszedł omówiony już przez nas sympatyczny schemacik „Nowej Rzeczpospolitej" o trzech odłamach opozycji. To samo pismo powitało później odbyte mniej więcej jednocześnie zjazdy "Wici" woj. warszawskiego, konserwatystów i endeckiej Rady Naczelnej jako równie pozytywne przejawy akcji „opozycyjnej" w społeczeństwie! Demokratyczna, radykalna (bez cudzysłowu) młodzież chłopska, sanacyjna konserwa i faszystowska endecja — to dla organu Str. Pracy równowartościowa, uczciwa „opozycja"! A w jak ciepłym tonie odzywa się prasa Frontu Morges o pp. Doboszyńskim i Cywińskim, sztandarowych męczenników faszyzmu endeckiego! „Zwrot" drukował nawet myśli wybrane wileńskiego bohatera endecji. Wreszcie „Nowa Rzeczpospolita" posunęła się do otwartej apoteozy haniebnej pamięci enzeterowej tradycji łódzkiej z lat 1905—07. Z dumą przypomniano krwawe praktyki endeckich bojówek, które w dobroczynnym cieniu caratu i dla jego korzyści chciały zdławić walkę ludu polskiego o wolność....

Tego wszystkiego jest za dużo, żeby można to było brać za przypadkowe wykolejenia, czy wybryki poszczególnych jednostek. To świadczy o nastawieniu całego obozu, o coraz wyraźniejszym kursie politycznym całego stronnictwa. Mamy przecież prawo uważać te perfidne próby siania rozdźwięków między ruchem ludowym a socjalistycznym, te ideowe ukłony w stronę reakcji za przejawy jednej i tej samej polityki, polityki bardzo dalekiej od tego, co Stronnictwo Pracy oficjalnie głosi w swym programie. Te rzeczy proszą się o napiętnowanie i o postawienie ich we właściwym świetle.

ZNAMIĘ EPOKI

„Dziennik Ludowy" w sprawozdawczej notatce p.t. „Proces „ABC" przeciwko „Epoce" przynosi:

„W Sądzie Apelacyjnym w Warszawie pod przewodnictwem sędziego Kuligowskiego toczyła się dn. 27-go b.m. rozprawa z oskarżenia redaktora „ABC" p. Gluzińskiego przeciwko zasłużonemu pisarzowi, redaktorowi „Epoki", p. Henrykowi Lukrecowi. Oskarżyciel dr Tadeusz Gluziński, uczuł się dotknięty posądzeniem go o pochodzenie żydowskie w artykule „Epoki" p. t. „Chrzczona demokracja i wychrzczona endecja". Autor rzeczonego artykułu, red. Antoni Wieczorkiewicz, dowodził, że endecja wymyśla od żydokomuny wszystkim ugrupowaniom demokratycznym i lewicowym polskim, natomiast pozostaje w zażyłych stosunkach z ludźmi żydowskiego pochodzenia, którzy służą reakcji endeckiej.

Przez przypadek wymieniono niesłusznie w tej kategorii działaczy nazwisko redaktora „ABC" i stało się to powodem skazania redaktora „Epoki" na 3 miesiące aresztu z zawieszeniem i 300 zł. grzywny

Na rozprawie w sądzie apelacyjnym obrońca red. H. Lukreca, adw.Wacław Kisielewski poddał krytyce uzasadnienie wyroku Sądu Okręgowego, dowodząc, że posądzenie kogoś o pochodzenie żydowskie nie zawiera ze stanowiska prawa i moralności cech zniesławienia. Posiłkując się przykładami, adw. Kisielewski wyjaśnił jasno i rzeczowo, że semitom i pół - semitom, uprawiającym antysemityzm w prasie endeckiej, pochodzenie żydowskie bynajmniej nie przeszkadza w tej zbożnej pracy i cieszą się serdecznym zaufaniem ze strony publiczności „narodowej".

Sąd apelacyjny, zatwierdzając wyrok Sądu Okręgowego, w ustnych motywach podkreślił, że wprawdzie obiektywnie posądzenie o pochodzenie żydowskie nie zawiera cech zniesławienia, to jednak w konkretnym wypadku, oskarżyciel mógł się czuć subiektywnie pokrzywdzonym". Obrońca zapowiedział kasację.

Wyganianie diabła Belzebubem

„Myśl Narodowa“ jest swego rodzaju wolną trybuną dla zwolenników różnych prądów w łonie endecji. W szczególności ścierają się tam zagorzali szermierze najpełniejszej, jawnej hitleryzacji ruchu „narodowego“ z tymi, którzy chcą zachować *pozory* pewnej oryginalności ideologii endeckiej.

Ostatnio na łamach tego pisma jeden z otwartych wielbicieli hitleryzmu, p. Wincenty Dutkowski omawia „kwestię *rzekomej* przepaści ideologicznej między narodowym socjalizmem a chrześcijaństwem“. Pan Dutkowski poucza tych drugich, bardziej wstydliwych w swym hitleryzmie, endeków starszego pokolenia: „Otóż tej „przepaści“ względnie różnicy nie należy brać zbyt tragicznie“. Dlaczego? Nasz hitlerofil wali prawdziwie prosto z mostu: „Kościół katolicki — to *wyznanie mniejszości*. A poza tym, czy stanowisko Kościoła czy też kleru w sprawach, którymi się interesował(!) i do których uregulowania dążył narodowy socjalizm, było całkiem bez zarzutu?“ Otóż to! Katolicyzm niemiecki, zamiast jako „wyznanie mniejszości“ siedzieć cicho, jak mysz pod miotłą i żarliwie uznawać nową religię Wodana, ośmielił się mieć własne zdanie w tych sprawach; co gorsza, bronił się przed napaścią. Ba! Kościół występuje nawet w obronie żydostwa! Dlatego los, który spotkał katolików niemieckich, jest w pełni zasłużony, zresztą — nie jest znowu tak źle: „obecna sytuacja Kościoła katolickiego, względnie chrześcijaństwa, choć nie może być oceniana różowo i optymistycznie, nie jest jednak rozpaczliwa, a już w żadnym wypadku nie może być porównywana do epoki katakumb. Była by to niezgodna z prawdą, niesprawiedliwa i śmieszna przesada“.

A teraz posłuchajmy najbardziej chyba w tej sprawie autorytatywnego, bo watykańskiego, głosu. Z braku miejsca nie możemy niestety przytoczyć w całości okólnika św. Kongregacji Uniwersytetów o antykatolickiej doktrynie hitleryzmu. Dlatego za „Przeglądem Powszechnym“ O.O. Jezuitów / przytaczamy jedynie część tekstu i najistotniejsze punkty tego pisma:

Wasza Magnificencjo!

W ubiegłym roku w wigilię święta Narodzenia Pańskiego Najwyższy nasz Pasterz i szczęśliwie nam panujący Papież mówił do prześwietnego Kolegium kardynałów i prałatów Kurii Rzymskiej w słowach nabrzmiałych smutkiem o poważnych prześladowaniach, które — jak każdy wie — godzą w Kościół katolicki w Niemczech. Co zaś najgłębiej i najboleśniej dotknęło serce naszego Ojca św., to fakt, że dla usprawiedliwienia przytacza się przy tym bezwstydne oszczerstwa i że, szerząc dookoła jak najzgubniejsze poglądy, przedstawia się je jako naukowe, choć niesłusznie to miano noszą, by tylko wykolejać umysły, a z dusz usuwać prawdziwą religię. Św. Kongregacja zachęca przeto uniwersytety i wydziały katolickie, by użyły wszelkich trudów i wysiłków ku obronie prawdy przed czyniącym postępy błędami. W tym celu muszą profesorowie zaczerpnąć, o ile możności, broni z biologii, historii, filozofii, apologetyki i nauk prawa oraz moralności, aby mocno i rzeczowo obalić następujące całkowicie fałszywe twierdzenia:

1. Rasy ludzkie przez swą wrodzoną i nieodmienną naturę tak dalece różnią się między sobą, iż przedział dzielący najniższą z ras ludzkich od wyższej jest większy, niż między najniższą rasą ludzką a najwyższym gatunkiem zwierząt.

2. Siła rasy i czystość krwi muszą we wszelki możliwy sposób być zachowane i pielęgnowane; wszystko zatem, co do tego celu zmierza, jest tym samym dobre i dozwolone.

3. Z krwi, w której zawarta jest istota rasy, wypływają wszystkie duchowe i moralne właściwości człowieka jako z najdoskonalszego źródła.

4. Najgłówniejszym celem wychowania jest rozwijać istotę rasy i rozpalać dusze gorącą miłością dla własnej rasy, będącej dobrem najwyższym.

5. Religia podporządkowana jest prawu rasy i musi do niego się dostosować.

6. Pierwszym źródłem i najwyższą miarą całego porządku prawnego jest instynkt rasowy.

Z okólnika powyższego redaktor „Przeglądu“ ks. Kosibowicz T. J. wyciąga takie wnioski:

„Już z tego najpobieżniejszego zestawienia najważniejszych tez rasizmu jasno wynika, iż doktryna ta może i musi być potępioną przez katolicki Kościół. Ponieważ zaś rasizm stanowi dziś istotną podbudowę ideową narodowego socjalizmu, przeto o jakimkolwiek pogodzeniu hitleryzmu z katolicyzmem nie może być mowy. Przed milionami Niemców coraz groźniej i coraz tragiczniej rysuje się konflikt między sumieniem i wiarą, a wiernością dla państwa, sprzągniętego w swoich istotnych wiązaniach z neopogańską ideologią“.

Ks. Kosibowicz przywiązuje szczególną wagę do faktu, że tezy antyhitlerowskie opublikowane zostały właśnie w czasie rzymskiej wizyty Hitlera, w czym widzi najbardziej wymowną odpowiedź pod adresem wszystkich, którzy tęsknią do kompropisu między katolicyzmem a hitleryzmem. Wobec tego nie naszą już rzeczą będzie pouczenie o tym polskich hitlerofilów. Można jednak oczekiwać argumentu z ich strony, że przecież faszyzm nie koniecznie musi być aż rasistowski. Ich ideologia jest np. skrajnie nacjonalistyczna, choć nie bezpośrednio rasistowska. Więc nie ma tu sprzeczności ze stanowiskiem Watykanu. Oczywiście i w tej sprawie odpowiedź nie do nas należy. Przypominamy sobie tylko, że Pius XI już dość dawno potępił doktrynę t. zw. integralnego nacjonalizmu, propagowanego na łamach „Action Francaise“ przez pana Charles Maurras — jako nie dającą się pogodzić z katolicyzmem. A pan Maurras jest przecież beniaminkiem naszych reakcyjnych intelektualistów...

Nasuwają się tu jednak inne wątpliwości. Jeżeli antykatolicka ideologia szerzy się w ultrakatolickich, zdawałoby się, kołach polskiego faszyzmu; jeżeli trzeba było wykląć sfaszyzowany do cna, choć pierwotnie klerykalny rojalizm francuski; jeżeli belgijski Codreanu, Degrelle, znajduje się w jawnym konflikcie z tamtejszym katolicyzmem (choć partia jego zwie się *Christus Rex*); jeżeli próba własnego, katolickiego faszyzmu w Austrii skończyła się katastrofą — to gdzież gwarancja, że w innych krajach, choćby katolickich, faszyzm nie pójdzie po tej samej linii? Przecież mie-

dzynarodówka faszystowska kierowana jest przez decydujący i wszechwładny ośrodek wyznawców Wotana, a „wodzowie" faszyzmu w mniejszych krajach wypełniają tylko rozkazy centrali! Dlaczego więc faszyzm w Hiszpanii, Portugalii i Meksyku zasługuje na poparcie Watykanu — mimo gorzkiego doświadczenia austriackiego? Dlaczego wygania się diabła Belzebubem i faszystowskiej doktrynie omnipotencji państwa nadal przeciwstawia się często nie ustrój parlamentarno-demokratyczny, ale korporacjonizm katolicko-portugalskiego typu? Czy w ten sposób nie wyrzuca się faszyzmu jednymi drzwiami, by natychmiast wpuścić go innymi, bardziej ukrytymi?

Każde posłannictwo polityczne jest prostolinijne, wyraźne, dla wszystkich zrozumiałe. Nie można tego niestety powiedzieć o doczesnej polityce dyplomacji watykańskiej.

I. WĘGLIŃSKI.

Dzieje współczesne w żywych osobistościach

Ludwik Krzywicki

(dokończenie)

Olbrzymią naukową doniosłość mają badania Krzywickiego nad rozwojem społeczeństw pierwotnych. Znaczenie tej kwestii dla znajomości całokształtu dziejów człowieka jest o wiele poważniejsze, niż mogło by się na pierwszy rzut oka wydawać. Zarówno historia, jak socjologia, jak wiele nauk pokrewnych (ostatnio np. lingwistyka) szuka w społeczeństwie pierwotnym zalążków dzisiejszych form, pierwszych przejawów zbiorowego instynktu, genezy wielu do dziś nawet przetrwałych instytucji i zwyczajów.

W wydanym ostatnio dziele: „Społeczeństwo pierwotne, jego rozmiary i wzrost" dokonał Krzywicki olbrzymiej pracy zreasumowania wszystkich niemal istniejących na ten temat materiałów i wyciągnięcia z nich wniosków. Wnioski te mają dla tej dziedziny wiedzy fundamentalne znaczenie.

Rozwój społeczeństwa na stopniu gromad i plemion nie ma znamion tej prawidłowości, jaką odznaczają się rozwoje wyższych form społecznych. Podkreśla Krzywicki mocno znaczenie czynnika demograficznego, znaczenie liczebności plemion i przyrostu naturalnego. Plemiona w tej fazie nigdy nie osiągały zbyt wielkiej liczebności, po osiągnięciu pewnej, nieznacznej z dzisiejszego punktu widzenia gęstości zaludnienia przyrost ustawał, często świadomie ograniczany. Granicą dla przyrostu naturalnego była zdolność wyżywienia się na danym terenie. **Małe rozmiary grup społecznych i nieznaczny dorobek kultury materialnej** powodowały zależność rozwoju plemienia od najrozmaitszych przypadkowych okoliczności. „Przy małych liczbach — czytamy w „Społ. pierw." — mamy traf, przypadki i nieprzewidziane zdarzenia: każda drobna okoliczność może wywrzeć wpływ nieoczekiwany... Małe gromady dzięki różnym krzyżującym się wpływom dają wyniki różne w każdym indywidualnym przypadku".

Zrozumiałe, że plemię nie związane na stałe z określonym terytorium było zeń na skutek klęsk żywiołowych, czy wytrzebienia zwierza wyrzucane i przenosiło się w nowe, nieraz zupełnie odmienne warunki. Niski poziom kultury materialnej, przede wszystkim narzędzi, uniemożliwiał przystosowanie nowych warunków do swoich potrzeb — zmuszał do przystosowania się do nich.

Wobec tych przekonywujących stwierdzeń stajemy przed zasadniczym problemem, poruszonym przez O. Langego: czy teoria materializmu historycznego odnosi się do grup plemiennych nie związanych ściśle z określonym terytorium [9]). Zagadnienie stosowalności materializmu dziejowego do wszystkich okresów ludzkiego rozwoju było podejmowane już niejednokrotnie, przyczym niektórzy usuwali tutaj zarówno ustroje przedterytorialne jak i przyszły ustrój socjalistyczny, który opierając się na świadomym, celowym rozwoju sił produkcyjnych nie będzie podlegał prawom sformułowanym przez Marksa i Engelsa. W kierunku takiej interpretacji stanowiska Krzywickiego skłania się również i Lange.

Wydaje się, że między sformułowaniem Krzywickiego i Langego istnieje nieporozumienie. Wg. Krzywickiego prawa rozwoju społeczeństw wyższych nie są bynajmniej jakimiś odwiecznymi „żelaznymi prawami", „są właściwością ustroju terytorialnego, narodziły się i na dobre dojrzały dopiero wtedy, gdy ustrój rozwinął się i zniszczył rodowe spoidła życia gromadnego; w końcu, jeśli kiedyś ustrój terytorialny ustąpi miejsca ustrojowi bezklasowemu, opartemu na świadomie uregulowanej produkcji na przestrzeni całego kraju, żywiołowość owa zniknie, a z nią i wysnute przez nas zasady rozwoju" [10]). Prawa rządzące rozwojem społeczeństw klasowych nie obowiązują w okresie, kiedy klas społecznych w dzisiejszym sensie jeszcze czy już nie ma, drogi rozwoju ekonomicznego oparte o własność prywatną nie mogą być przenoszone w okresy, kiedy własność ta nie istnieje itd. Nie będą więc zawsze obowiązywały **prawa rozwoju** stwierdzone w określonych fazach historii. Ale nie podważa to stosowalności materializmu historycznego do innych faz, bo materializm historyczny w szerszym pojęciu to **ogólne teoria zależności** rozwoju warunków bytu oraz **metoda wykrywania praw dla każdego okresu.** Utożsamienie tych dwu odrębnych zagadnień (szerszego i węższego rozumienia materializmu) może mieć źródło w fakcie, że najpełniej dotąd opracowana została teoria rozwoju społeczeństw klasowych, szczególnie w okresie kapitalizmu.

Odnośnie społeczeństw pierwotnych bardzo zdecydowanie podkreśla Krzywicki zależność form, i szyb-

[9]) tamże: O. Lange: L. Krzywicki jako teoretyk materializmu historycznego, S. 109 — 11.

[10]) L. Krzywicki: Rozwój społeczny, 50 — 51.

kości rozwoju kierunku od materialnych ekonomicznych czynników. Ustrój wewnętrzny plemienia, jego liczebność, kultura zależały od czynników materialnych. Matriarchat np. wynikał z gospodarczej roli kobiety, jako głównej żywicielki rodziny. Oczywiście zależność ta różniła się od stwierdzanej dzisiaj. Niepomiernie wzrastała tam rola przypadku, który hamował, zmieniał ciągi rozwojowe, mógł spowodować zastój, czy nawet cofnięcie się. Rzecz w tym, że i owe „nieprzewidziane wypadki" były w większości natury **materialnej,** że wpływ ich oddziaływał przede wszystkim na **warunki bytowania.** Już dotychczasowe wyniki badań Krzywickiego pozwalają w ogólnych zarysach ustalić czynniki i kierunki rozwoju społeczeństw pierwotnych. Czynniki te leżą całkowicie w ramach materialistycznego pojmowania historii. Prawa rządzące tam będą inne, może mniej „żelazne", ale wspólna będzie ich zasada. Krzywicki poszerzył historię, monistyczne ujęcie dziejów objęło u niego wszystkie znane formy ludzkiego bytowania.

Może się wydać dziwne, że w całym powyższym rozważaniu dzieła zaliczane do **socjologii** rozpatrujemy jako poszczególne rozdziały **historii.** Ujęcie to nie jest przypadkowe i wypływa ono z bardzo istotnej cechy postawy Krzywickiego.

Socjologia współczesna ponosi wszystkie konsekwencje poruszonego wyżej pędu do specjalizacji, jej grzechami głównymi są formalizm oraz statyczne, fotograficzne, rzecby można, ujmowanie zjawisk. Wnioskowanie na podstawie faktu społecznego oddzielonego sztucznie przez badacza od historycznego procesu pozbawia wnioski socjologii wszelkiej społecznej doniosłości — warte są one tyle, co poznanie społeczeństwa poprzez sekcję zwłok poszczególnych ludzi.[11])

---

[11]) Jak daleko dochodzi pomieszanie pojęć n. t. stosunków między historią i socjologią świadczy takie zdanie z nowej książki Bystronia, „Publiczność literacka": „książka ta — czytamy w przedmowie — pomimo posługiwania się materiałem historyczno literackim należy do zakresu socjologii". Zdumiewające, że socjolog musi usprawiedliwiać się z korzystania z materiału historycznego, rozumując widocznie, że „prawdziwa" socjologia winna ssać z palca. Oto jaskrawy przykład nauki, w której „zakres" ważniejszy jest od sensu.

Dla Krzywickiego, operującego metodą materializmu historycznego, fakty socjologiczne nie stanowią jakiejś odrębnej, samowystarczalnej dziedziny. Socjologia jest z charakteru swego, z metody dyscypliną historyczną, badającą prawa i drogi rozwoju w ramach konkretnej, historycznej rzeczywistości. **Historyczny charakter uogólnień socjologii** to cenna wskazówka dla tej nauki, gubiącej się w bezpłodnych dociekaniach. Podkreślił to w swoim ciekawym szkicu prof. Znaniecki: „A jednak — pisze — to historyczne nastawienie Krzywickiego nie tylko nie osłabia, lecz właściwie potęguje socjologiczne znaczenie jego dzieł. Jak socjolog nie może się obejść bez historycznego materiału, tak historyk nie może się obejść bez kategorii i hipotez socjologicznych".[12]) To uznanie ze strony wybitnego zwolennika nowszej szkoły, przejawiającego duże skłonności do formalnego ujmowania zagadnień socjologii, jest bardzo znamienne. Inna rzecz, że nie docenia Znaniecki roli, jaką u Krzywickiego odegrała metoda materialistyczno - historyczna, roli monizmu historycznego. Nie docenia, że właśnie ta metoda nie tylko wpływała na wnioski, jakie wyciągał Krzywicki, ale decydowała o **metodzie i zadaniach** socjologii, o jej stosunku do całokształtu problemów historii.

W tej dziedzinie prace Krzywickiego mają znaczenie rozstrzygające, chce się rzec: epokowe. „Wyprzedził on swój czas — pisze Znaniecki. — Jeżeli socjologia pójdzie wskazanymi przezeń drogami, wówczas kierunek zajmujący się dziś procesami masowymi, porzuciwszy bezpłodne próby uogólnień nomotetycznych, zajmie się istotnie płodnymi i ważnymi zagadnieniami historii społecznej nowszych czasów, natomiast badanie systemów społecznych nabierze nowej, niebywałej dotąd żywotności przez wprowadzenie problematów dynamiki społecznej w statyczne przeważnie opisy".

Miejmy nadto nadzieję, że dzieło Krzywickiego przyśpieszy rewizję stosunku, jaki mają nasi uczeni do materializmu historycznego, dyskwalifikowanego przez nich ze względów całkowicie poza naukowych.

W. K. BIEŃKOWSKI

---

[12]) Ludwik Krzywicki S. 224.

Gdzież nowe idee?

Teatr przed jutrem

W „Ateneum", **poeta** Jerzy Zagórski ogłosił artykuł p. t. „O czystość stylów w teatrze", w którym zostało powiedziane, że nasze dzisiejsze teatry są obecnie „dość bliskie czoła" (ruchu teatralnego Europy) i że, jeżeli idzie o przyszłość naszego teatru, o znalezienie jakiegoś naszego własnego **stylu** teatralnego, to stanie się to niemal automatycznie, **„gdy oddalimy od siebie natrętną kwestię „współczesności", gdy zaniechamy drapieżnego, za wszelką cenę szukania stylu dla naszej epoki".** Możnaby wpaść w głęboki optymizm, jeśli by się to wzięło poważnie. Zwłaszcza, że teatry naszych sąsiadów, które do niedawna świeciły blaskiem żywych i atrakcyjnych idei artystycznych, nie przedstawiają dzisiaj żadnej poważnej konkurencji. Weźmy to jednak „na rozum".

Przyszłość naszego teatru emocjonuje nie wielu ludzi, mimo, że narzekania na temat spraw teatralnych porosły już brodatą nudą. I mimo, że przeciętny inteligent zabawiający się obficie na każdej premierze „Cyrulika Warszawskiego" i raz na rok bywający w teatrze np. „Narodowym" i to „akurat" na „nieudanym" przedstawieniu, umie na poczekaniu i przy pomocy conajmniej dziesięciu palców wyliczyć „zasadnicze" niedomagania teatru. Jałowy jarmark kruków! Głosy entuzjazmu, to są jedynie opłacone reklamówki, albo — **pia desideria** nie do-

cierające do głębi sprawy teatru, nie wynikające z rzeczywistego wyczucia jego ważności i wielkości. Wyeliminowano z teatru to, co kiedyś — i zawsze — było jego siłą: możność niezależnego kreowania idei artystycznych. Gdzie przed teatrem nie stoją wielkie i konkretne idee artystyczne, które, jak wiemy z doświadczenia, mogą wzrastać tylko w klimacie ogólno - społecznych swobód, — tam nie będzie wielkiego teatru. Narzekania nie pomogą, rozkazy nie pomogą, subwencje nie pomogą. Oto dlaczego załamały się teatry naszych sąsiadów!

I jakże mamy — wiedząc o tym — patrzeć weselej w przyszłość naszego teatru, skoro nie widzimy konkretnych prac, jasnych programów, sugestywnych doktryn, projektów artystycznych, któreby rozniecały wyobraźnię ludzi teatru do nowych kreacyj? Któryż z naszych teatrów oficjalnych reprezentuje jakiś określony program artystyczny? Gdzie są idee teatralne, któreby się urodziły tu u nas?

Ale — powie ktoś — czyżby naprawdę nie snuły się dokoła naszych spraw teatralnych żadne projekty zmian na lepsze, na inne, na nowe? A, owszem, pojawiły się takie dwa projekty wprowadzenia naszego teatru oficjalnego w jakiś nowy klimat. Tylko, że te projekty tak samo plastycznie charakteryzują bezideowość teatru oficjalnego, jak sama działalność tego teatru.

Projekty te — jak to jest obecnie modne — urodziły się z przeświadczenia, że teatr, taki, jaki jest, nie uwzględnia wcale sił młodych, albo uwzględnia je w stopniu niedostatecznym. Najważniejszym strapieniem okazało się nie to, że jest to teatr bezideowy artystycznie, ale to, że nie mają do niego dostępu ludzie młodzi.

Jeden z tych projektów zajął się sprawą młodych autorów teatralnych, drugi, bardziej teoretyczny, ujął sprawę „w ogóle".

Pierwszy już został zrealizowany. Gdzie? — spytacie — nie słyszeliśmy o tym! A tak, zrealizowany, stworzono instytucję z stałym sekretarzem, wciągnięto do niej kilka sławnych nazwisk literackich i... kropka. Nazywa się to „Młody Teatr", było mniej więcej przed rokiem szumnie reklamowane, ogłoszono adres i proszono „młodych autorów" o przesyłanie sztuk pod tym adresem, pochwalono się kilkoma akademikami literatury w zarządzie — sekretarzem został — nie wiadomo dokładnie dlaczego — młody powieściopisarz, no i cóż więcej? No i nic więcej!

Ta niewątpliwie „pożyteczna" instytucja miała za główny cel przeforsowywanie do oficjalnych teatrów T. K. K. T. sztuk młodych pisarzy, którzy właśnie dzięki tej młodości nie mogą się tam dostać. Dotychczas jednak, jak nam wiadomo, nie wylansowała ta instytucja ani jednego młodego autora.

Ludzie, którzy coś wiedzą, powiadają, że w szufladach dyrekcyj teatrów spoczywają, nieczytane, całe, podobno wagony polskich sztuk teatralnych. Jeżeli tak jest, to przecież przez rok można było już przeszukać te szuflady chociażby tylko w teatrach warszawskich. Możeby się co znalazło. Jeżeli już tak się wierzy w tę „młodość"!... Niestety, przez calutki rok „Młody Teatr" nie odkrył ani jednego młodego autora.

Drugi projekt, ten bardziej teoretyczny, bo narazie bez stałego sekretarza, powstał w Krakowie. Autorem jego jest znowu nie bezpośredni człowiek teatru (co charakterystycznie określa sytuację: idea naprawy przychodzi z zewnątrz, nie od „fachowców", nie od najbardziej, zdawało by się, zainteresowanych w przeprowadzeniu zmian w organizacji i w ulepszeniu teatru; ci „fachowcy", zdaje się, przysiedli na posadach, i im dłużej będzie trwało to „gorzej", tym dla nich lepiej), tylko powieściopisarz, Tadeusz Kudliński, którego zainteresowania należy ocenić jako bardzo kulturalne i rozległe. Projekt ten został rozwinięty w cyklu artykułów w I. K. C., wzbudził pewne zainteresowanie wśród kilku pisarzy „zwyciężonych" przez scenę, złożono go, jako memoriał gdzie należy, no i także nic z tego nie wyszło.

Zanim się okaże, że dzieje jednego i drugiego projektu, ich całkowite fiasco, nie są bynajmniej czymś, coby ludziom prawdziwie zaniepokojonym wyglądem polskiego teatru nie dawało spać po nocach, że to niby odrzucono „ostatnią deskę ratunku" — niech się pokaże czym chciał być ten drugi projekt krakowski.

Dodawało mu blasku słówko „eksperymentalny", które się trzepało w artykułach rozwijanych dokoła niego. A więc — ważne, bardzo ważne! Bo na zbytek eksperymentów teatralnych nie skarżył się jeszcze żaden polski widz teatralny, żaden „stały bywalec". Publiczność nie spotykała się dotychczas ze sztukami eksperymentalnymi — jedyny wyjątek to sztuki S. I. Witkiewicza, ale było to tak dawno i tak sprytnie przez sam teatr „położone na plecy", że można tego nie rachować — których by „nie rozumiała", których by „nie odczuwała", których eksperymentalność „oburzała by ją" itp. Nasz teatr jest przede wszystkim teatrem ostrożności. Żadnych śmielszych pomysłów, żadnych „dziwactw" — i w rezultacie nie było ani jednego zdobycia, ani jednego większego, czysto artystycznego sukcesu.

Projekt Kudlińskiego wysuwał właśnie konieczność specjalnego teatru „eksperymentalnego", którego eksperymentalność polegała by na wypróbowywaniu w nim nowych sił autorskich, reżyserskich i aktorskich. Jest to dość trzeźwe. Na wystawienie eksperymentalnej sztuki nie pójdzie żaden dyrektor teatru w Polsce. Boi się każdej nowości, boi się każdego pisarza, który pierwszy raz wkracza na scenę. Jedyne, co mu imponuje, to rutyna, tak zwane „majsterstwo".

Teatr proponowany przez Kudlińskiego byłby więc niejako wstępem do prawdziwego teatru. Młody autor wypróbuje w nim swe umiejętności, nabierze doświadczeń, pouczy się tak, że będzie się już „nadawał" do teatru oficjalnego. Byłby to więc rodzaj takiego taniego sita teatralnego, które ludziom prawdziwie zdolnym dawało by pierwsze iluzje przyszłych rzeczywistych sukcesów, a grafomanów teatralnych powstrzymywało by przed progiem wielkiej i kosztownej sceny, bezboleśnie, małym kosztem pozwalając im „wyżyć się scenicznie". Tak samo działoby się z aktorami i reżyserami. Pozbywali by się oni tutaj swych „grzechów młodości" — to też nazwano ten projekt „Teatrem Grzechu". Niestety, nie wyspowiadał się w nim dotąd ani jeden grzesznik teatralny!

A teraz pytanie: Czy należy się smucić, że te oba projekty nie zrealizowały się tak, jak były zamierzone?

I odpowiedź: należałoby krzyczeć z oburzenia, że się ich nie realizuje, gdyby się wiedziało, że te realizacje rozstrzygną w jakiś korzystny sposób tragiczną sytuację polskiego teatru. Gdyby te realizacje...

Lecz te realizacje nie dałyby ani jednej ważnej korzyści! Na prawdę: ani jednej.

Zastanówmy się.

Co traci nasza przeciętna publiczność, tracąc swój teatr? Bardzo nie wiele! Kryzysy teatralne istniały zawsze, ale może jeszcze nigdy człowiek t. zw. kulturalny nie miał tyle okazyj do powetowania sobie braku przeżyć teatralnych innymi sposobami wzruszenia się.

Jeżeli teatr nie daje mu odpowiednich satysfakcyj zabawowych (a bez tego nie obejdzie się nawet najartystyczniejszy teatr), znajdzie je gdzie indziej, w kinie, w książce, na koncercie, na wystawie, w piśmie artystycznym. Gdyby teatr był jedynym miejscem przeżywania współczesnej sztuki, tej najwyższej, gdyby tracąc go, normalny inteligent tracił wszystko, gdyby zarysy ruin dostrzegalne w gmachach teatrów groziły mu osobiście i dotykalnie, umiał by napewno zaniepokoić się ukrytymi przyczynami błędów, podminowujących ład i sztukę teatru*).

Kino, na które tak się zgrzyta zębami, nie dlatego jest groźnym konkurentem, że jest sztuką „lepszą" tylko dlatego, że wejście do teatru w normalnym mieście znajduje się niedaleko wejścia do kin. Kto nie jest zadowolony z tego, co jest wewnątrz teatru, ten nie będzie się rozgrzewał z żalu do białości, nie będzie się domagał zmian, tylko — po prostu — pójdzie gdzie indziej, do innego kramu, więcej zabawnego.

Jest coraz widoczniejsze, że dzisiaj teatr aby zdobyć sobie społeczne, szerokie znaczenie, wziętość, musi się oprzeć tylko na sobie. Nie pomogą żadne, choćby największe subwencje, bo — mimo wszystko, co się na ten temat mówi i płacze — nie o pieniądze tu chodzi. Największe sukcesy teatralne, najpiękniejsze idee teatralne, które obiegły w dreszczach entuzjazmu Europę, powstały bez pieniędzy. Kto nie wierzy, niech sobie przeczyta pamiętniki Antoine'a, niech się dowie czegoś o drodze, jaką wspaniały Dullin odbył z Théatre de l'Athenée aż do... Comédie Francaise, niech się poinformuje o dziejach praskiego teatru E. F. Buriana.

Aby zdobyć sukces, trzeba mieć właśnie coś, co jako większa siła może stanąć przeciw pieniądzom, trzeba mieć odważną i ryzykowną młodość ideową, aby przeciwstawić się zwycięsko wszelkim artystycznym kryzysom, każdej „starzyźnie", osadzonej na złotych tronach koniunktury.

W sztuce okrzyk: „miejsca dla młodych!" nie jest żadną ideologią. Niczym nie są „młodzi", jeżeli nie przynoszą konkretnych i nowych idei artystycznych.

A nie ma idei w tych jedynych projektach naprawy oficjalnego teatru. Są one zbyt trzeźwe, zbyt obliczone na kompromis, na powodzenie. I właśnie dlatego, że nie różnią się zasadniczo, ideowo od tego wszystkiego, co się dzieje w teatrach, nie mają żadnego znaczenia, a nawet zablagowują sytuację.

Zablagowują? No tak, bo to przecież nieprawda, że młody autor, jeśli napisze dobrą sztukę (oczywiście nie eksperymentalną, ani polityczną w sensie nieodpowiadającym „miarodajnym czynnikom", bo to sprawę przesądza z góry na niekorzyść) nie ma możności wystawienia jej**). Młodym pisarzem był Cwojdziński, młodym pisarzem był Kossowski (premiera w Katowicach), Marynowski (premiera w Katowicach), Wesołowski (premiera w Krakowie), Dybowski (premiera w Katowicach). To nic, że oprócz Cwojdzińskiego, wszyscy oni „padli". Po prostu napisali kiepskie sztuki. O powodzeniu bowiem decyduje nie tylko dyrekcja teatru, ale także i publiczność. A publiczność, nie łudźcie się panowie, nie będzie oklaskiwała za gorąco i kupowała masowo biletów bez wyraźnego dla siebie powodu. Dyrekcja teatru może wystawić protegowanego szmirusa — i sztuka padnie! Ale jeśli dyrekcja wystawi dobrą sztukę młodego autora, odniesie sukces na pewno i autor i kasa teatru.

W drugim projekcie jest mowa o eksperymencie. Już wiemy, że polegałby on na wypróbowywaniu młodych, niedoświadczonych sił, na podciąganiu ich do poziomu „poważnego" teatru. To także blaga!

Eksperyment bez ryzyka jest blagą, nie jest w ogóle eksperymentem. Eksperymentuje się nie dlatego, że nie można się dostać do starego, kosztownego teatru, ale dlatego, że idee, z którymi się występuje, nie mogłyby się pomieścić w tym starym teatrze. Koncypowanie teatru eksperymentalnego po to, żeby w nim wypróbowywać sztuki autorów, którzy zostali odpaleni z teatru prawdziwego, bez kosztów ryzyka, bez możności klapy i skandalu, taka koncepcja nie ma żadnego życiowego sensu. Grafomanów można by pocieszyć w inny sposób, mniej kompromitujący samą ideę eksperymentu.

Argument, że ujrzenie swojej sztuki na scenie kształci autora teatralnego, również jest pretensją zawiedzionych ambicyj. Po to, żeby dobrze pisać dla sceny, nie koniecznie trzeba znać kulisy teatru. A-

*) Tu warto przypomnieć, jak gorąco robotnicy bronią w swym życiu codziennym tych nielicznych form przejawiania się kultury, jakie im są dostępne, np. swojej scenki, swojej gazety; dzieje się tak dlatego, że to jest dla nich sprawa ryzyka; lekceważąc sobie te rzeczy, którymi się uczą i żywią, ryzykują zbyt wiele, aby zdobyć się na lekkomyślność; robotnicy są *związani* z tymi formami kultury, jakie mają do dyspozycji, zaś publiczność tak zw. inteligencka nie jest związana uczuciowo z tym co się dzisiaj dzieje w polskiej kulturze, ani z literaturą, ani z plastyką, ani z teatrem współczesnym.

**) Dobrym dopiskiem do tej powieści o niemożności wyżycia się na scenie młodych pisarzy jest upór Teatru katowickiego, gdzie się wystawia sztuki tylko polskich autorów. Ten teatr chce was grać, „młodzi autorzy"! Ten teatr ma piękne ambicje! Lecz gdzież są te dobre sztuki? Odpowiedź jest prostsza niż się wydaje: *tych dobrych sztuk nie ma!* Dobrych sztuk pisanych „pod gust" ideowy, „pod poziom" artystyczny obecnego teatru będzie co raz mniej. Rzemieślnictwo jest nudne, proszę panów! A dla twórczości nie ma miejsca. Lecz nie tylko w oficjalnych teatrach, także i w tych „młodych" projektach.

by zrozumieć prawa sceny, twórczemu człowiekowi teatru, wystarczy być raz w teatrze. Zadaniem teatru eksperymentalnego nie może być nigdy poduczanie techniczne miernot, które nie mają dość wybitnej wyobraźni, i które muszą sprawę wymacać od głowy i od ogona, zanim coś w pocie czoła wyskrobią.

Eksperyment w teatrze — jak wszędzie—powstaje przede wszystkim i najogólniej, z woli zastąpienia jednej formy przez inną, a nie dla przeszkolenia ludzi, którzy poza starą formę nigdy nosa nie wystawią. Dlatego też wszystkie nowe idee, idee eksperymentów rodzą się w ubóstwie środków technicznych, wielką siłą nowej namiętności przezwyciężają brak tych warunków, które gdzie indziej są ostatnią i jedyną podporą istnienia.

I jeszcze jedno: koncypując sobie teatr eksperymentalny jako szkołę, jako kurs artystyczny, nie stawia się tym samym eksperymentowi żadnej granicy. Wykształci się jednych, zjawią się inni, i tak może trwać do końca świata, albo do końca cierpliwości urzędu, który to finansuje. Tymczasem żaden prawdziwy eksperyment nie może trwać permanentnie. Tak już jest, że nie eksperymentuje się dla samego eksperymentowania, ale dla określonych celów i konkretnych pragnień.

Złudzenia są rzeczą bezcenną... dla tych, którzy je wytwarzają. Narzućmy ludziom, niezadowolonym z obecnego teatru, pogląd, że jedynym brakiem tego teatru jest brak młodych sił, a opadnie piękna zasłona na jego bezideowość. Pewnie, że tych młodych trochę brakuje. Pokolenie, które stworzyło nasz dzisiejszy teatr, to dzisiaj przeważnie starsi panowie, którzy nie wiedzą, co się dzieje w świecie. Sprowadzą sobie Teatr „Comédie Francaise", wypiszą o nim kilka tuzinów nie zbyt zuchwałych pochwał, i z zadowoleniem zauważą, że nie jest to znowu tak bardzo od nas odległe! Tylko „wyższy poziom", tylko „kulturalniejsi aktorzy", ale repertuar wcale „stary", bez ryzyka, ale w inscenizacji żadnych „rewolucyj"!

Na takim tle wcale źle nie wyglądamy! Naszymi aktorami zachwycało się już kilku drugorzędnych pisarzy cudzoziemskich, którzy nie rozumieli tekstu, nie wiedzieli, jaki jest jego stosunek do tego, co się widzi i dzieje na scenie, nie przeszkadzało im to w udzielaniu nam nic nie znaczących pochwał i bardzo uprzejmych zachwytów. Że do Polski nie przyciągnął ich nasz teatr, i że nigdy on ich nie przyciągnie, to pewne. Znają tu lepsze interesy! Bo owszem, dostrzegli tu u nas niezły,, a nawet dobry poziom, ale nie ujrzeli rzeczy nowych, takich jakich nie widzieli jeszcze nigdzie. A to dopiero byłby sukces!

Nowości nie wytrzepuje się z rękawa, nie da się ich wyprodukować nawet przy pomocy najlepszych urzędników, tak z dnia na dzień. Dlatego tak ważną rzeczą są u nas jakieś nowe, ożywcze projekty reform teatralnych, u nas, gdzie nigdy nie było tradycji teatru awangardowego, eksperymentującego, gdzie każdą próbę istotnego awangardowania zasypuje się górami niechęci i intryg i obowiązkowo bojkotuje.

Jeżeli mówię, że subwencjami niczego się nie stworzy, to nie znaczy to, że nie mogłyby one pomóc w prawdziwie twórczej pracy, to nie znaczy, że nie można by nimi wyciągnąć wielu „młodych". Ale — za wiele już udzielono subwencyj, które z punktu widzenia sztuki zupełnie się nie opłaciły, żebyśmy mogli z racji ich rozdawania wpadać codziennie w entuzjazm. Ci, co są grzeczni, nie mają najmniejszego powodu do biadania. „Młodzi" pisarze wybrali już tyle pieniędzy subwencyjnych, że gdyby je mógł zliczyć np. Żeromski, to by spłonął w rumieńcach.

W jakiejś odpowiedniej chwili, przy jakimś sukcesiku, wystawi się na pokaz także i teatr, że — oto — wyciągnięto na jego deskach nowego, młodego pisarza! Jednego, kilku, kilkunastu! Więc — dobrze, doskonale, wszystko w porządeczku, najważniejsza rzecz została dokonana: teatr bierze w siebie młodzież! Nie ma powodów do narzekania! Takie będą skutki łudzenia „młodymi".

A tymczasem — ta młodzież nie wniesie młodości. Teatr jest, nawet przy jej współpracy przeraźliwie stary. Bo w jego kulisy, w jego dyrektorskie szuflady, w jego tuby reżyserskie nie wtargnęły jeszcze żadne nowe idee.

Gdzież się odbywa ta praca, która by wyniosła nasz teatr na taką scenę, z której bylibyśmy widoczni nie tylko w Warszawie i kilku innych miastach prowincjonalnych, z której widać by nas było w Europie? Gdzież jest taka praca? Gdzie są takie idee? *LECH PIWOWAR*

Venus z Milo — kaleką

Dziwne mamy pod wielu względami czasy. Rzeczy, o których się namiętnie dyskutowało ćwierć wieku temu i które już wtedy wydawały się o tyle rozstrzygnięte i przesądzone, że człowiek już zupełnie o nich nie myślał, — nagle odżywają, jako otwarte zagadnienia. Zupełnie w takiej postaci odradzają się te problemy, jak by jeszcze nikt dotąd jednego słowa w sprawie ich rozwiązania nie powiedział. Przykładem może posłużyć niedawna dyskusja o karze chłosty. Zdawało się ludziom już przed półwiekiem, że sprawa jest jasna i nie ma o czym gadać.

Tydzień temu znów spotkałem inteligentnego człowieka, który na moją uwagę, że trochę ostatnimi czasy zadużo jest wypadków śmierci w Polsce, — zaczął mi zupełnie na serjo bronić racjonalności kary śmierci.

Mówiłem mu, że dziś kara sądowa nie jest rozumiana jako zemsta czy odwet społeczeństwa w stosunku do gwałciciela norm prawnych, lecz jako zabieg moralno-leczniczy, mający delikwenta uzdrowić moralnie, odrodzić duchowo i „resocjalizować", czyli uczynić z niego pożytecznego i lojalnego członka społeczeństwa. Skoro się mówi o moralnej kuracji — zawieszanie człowieka na stryczku, jako kara za przestępstwo, musi być logicznie uznane za zabieg niewłaściwy, przecinający wszelką możliwość odro-

OD WYDAWNICTWA

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWRATAŁ UBIEGŁY PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.

dzenia moralnego. „Logicznie — tak", przyznał mi mój rozmówca: „praktycznie jednak nowoczesne humanitarne systemy penitencjarne nazbyt wyprzedzają rozwój odpowiednich pojęć w społeczeństwie". To ostatnie, zdaniem mego rozmówcy, nie wyzwoliło się z uczuć pragnienia odwetu i ujmuje karę śmierci jako słuszną zapłatę za zbrodnię przeciwko ludzkiemu życiu. Między obowiązującym prawem, a kompleksem pojęć etycznych i prawnych społeczeństwa musi istnieć harmonia.

Przyznałem, iż dążenie do tej harmonii jest koniecznością, ale wskazałem na to, że procesy rozwoju norm prawnych i pojęć etycznych nie są zbieżne w czasie. Życie często sprawia, że czyny jeszcze zagrożone karą już w pojęciach społeczeństwa przestają być przestępstwem i prawo stopniowo jest coraz mniej stosowane, aż ulega zniesieniu lub zgładzeniu. Tak np. było w ciągu ostatnich 30 lat z kwestią przerywania ciąży przez lekarza. Prawodawca i sąd mają jednak obowiązek uczyć i wychowywać ludzi, aż rzeczy istotnie słuszne i sprawiedliwe za takie uznane powszechnie zostaną. System kar stosowanych musi stanowić logicznie zrozumiałą całość, inaczej odbiera mu się siłę oddziaływania na ludzi. Nie może być jedna kara obliczona na zastraszenie, a inna na wychowywanie człowieka.

Sięgam do półki. Zdejmuję „Prawo karne", prof. W. Makowskiego. — Rozdział XIX o karze śmierci, założony wycinkiem z gazety. Przeglądam. — Kara śmierci w Rosji została skasowana przez carycę Elżbietę w połowie XVIII wieku... W latach 1906—1908 w Polsce 753 wyroki, — 297 wykonano... Biernat z Lublina (1520 r.): „Bóg kazał żyć człowiekowi"... „Stwórca nikomu nie dał mocy niszczyć swego dzieła"... Królowie sami musieli ścinać — ostatni ze zbrodniarzy nie chciał. Dziś na stanowisko kata tysiąc kandydatów. W Austrii 1801 — 1905 — 55 wyroków śmierci — 2 wykonano. W Rosji 1905—9 — wykonano 40% wyroków śmierci. — str.329... „Nie o równowagę sprawiedliwości, lecz o żer dla gniewu społecznego tam chodziło"... Str. 331... „Kara śmierci jest takim samym anachronizmem, jak stosy dla czarownic i pręgierz publiczny"... „Stąd demokracja nie potrzebuje kary śmierci ani w dziedzinie przestępstw kryminalnych, ani politycznych, potrzebuje jej tylko organizm społeczny pierwotny, podatny odruchom namiętności zbiorowej, oraz budowa państwowa sztuczna, w istocie słaba, opierająca się na paraliżowaniu sił żywotnych społeczeństw, a to zarówno w tyranii monarchicznej, jak ochlokratycznej"...

Tak pisał prof. Makowski...

Zapanowała między nami chwila milczenia. Mówiłem potem, że to jest najpiękniejsze streszczenie myśli, na których kształtowałem swoje poglądy, z których promieniowało humanitarne ujmowanie zagadnienia prawa, jako jednego z zagadnień człowieka. Wstając, mój oponent przypomniał mi, że prof. W. Makowski był członkiem Komisji Kodyfikacyjnej, która ułożyła pierwszy w Niepodległej Polsce własny, polski Kodeks Karny z... karą śmierci.

Wycinek z gazety, który służył jako zakładka w „Prawie karnym" okazał się artykułem W. Makowskiego p. t. „Oblicze i podłoże nowego Kodeksu Karnego". Świetna analiza. Doskonały wykład. O samodzielnym, polskim systemie, ujmującym polską myśl prawniczą; o celowości represji, o indywidualizacji karnej; o wyzwoleniu sędziego z kazuistycznych formułek dawnych kodeksów. O wszystkich zaletach nowego kodeksu. O artykule 37-ym, wymieniającym w punkcie a) karę śmierci, jako karę zasadniczą — nie znalazłem w wykładzie prof. Makowskiego ani słowa.

Dziwne skojarzenie myśli przypomniało mi zdarzenie z przed wielu lat. Przed wojną, kiedyś w Monachium, w którymś z pięknych, artystycznych, jeszcze nie zgleichszaltowanych czasopism, przeczytałem artykuł jakiegoś genialnego pięknoducha o Venus z Milo. Drobiazgowa analiza harmonii doskonałego piękna. Sięgnięcie do tych głębi, gdzie wyraźnie się odczuwa mistyczne pokrewieństwo pierwiastków Piękna, Dobra i Prawdy. Czytałem z wielkim zajęciem, bo właśnie zagadnienie pokrewieństwa a nawet tożsamości tych pierwiastków znalazłem w dziełach człowieka z drugiego bieguna kultury, pisarza rosyjskiego G. Uspeńskiego..

Rzeczywistość rosyjska, z którą ten subtelny człowiek nie umiał się pogodzić, a nie miał sił walczyć, tak zdeptała, stłamsiła mu duszę, że ta była według jego porównania, jak zmięta skórkowa rękawiczka. W pewnej chwili stał się cud. Jakby kto rękawiczkę nadął powietrzem — przybrała ona właściwy sobie kształt ludzkiej ręki. Tak „wyprostowała" się w nim dusza, gdy kilka godzin spędził on, wymęczony wędrowiec dalekiej dzikiej Północy, w obliczu niewysłowionego piękna marmurowej Venus. Artykuł monachijskiego estety wyjaśnił mi problem duszy rosyjskiego romantyka - męczennika i powiedział mi wszystko, co o Venus powiedzieć można.

Tak mi się przynajmniej wydawało bezpośrednio po przeczytaniu. W dłuższy czas potym zorientowałem się, że w tym artykule nie wszystko było powiedziane. Nie było tam ani słowa o tym — że marmurowa bogini miłości to kadłub kaleki — bez rąk.

— — — — — — — — —

Jedna jeszcze tylko uwaga. Gdy się człowiek wpatruje w uśmiech posągu z Milo — zapomina o jego kalectwie, gdy zaś się czyta nasz kodeks karny na chwilę nie można zapomnieć o karze śmierci. To przysłania nam rzeczy inne: mądre i słuszne.

WŁ. WISKOWSKI

Niecierpliwi wieszczbiarze klęski

Pan R. Z. (czyżby autor omówionego w 16 (119) n-rze „Epoki" artykułu o „Armii hiszpańskiej w wojnie domowej"?) ogłosił znów na łamach „Gazety Polskiej" z 10 b.m. garść ciekawych rozważań p.t. „Doświadczenia z wojny hiszpańskiej". Stwierdził w nich m. in. co następuje:

„Latem, jesienią i zimą 1936 r. hiszpańskie wojska rządowe potrafiły, pomimo znacznie gorszego uzbrojenia i wyszkolenia, przeciwstawić się naciskowi wojsk powstańczych; ale w murze obrony republikańskiej zjawiać się poczęły rysy, a nawet wyłomy, gdy na horyzoncie hiszpańskim zjawiły się pierwsze regularne oddziały włoskie i niemieckie". A dalej, o bohaterskiej obronie Basków na wiosnę 1937 r.:

„Początkowo gęste chmury w górach utrudniały użycie silnego lotnictwa włoskiego i niemieckiego, rekompensując niejako brak u baskijczyków środków obrony przeciwlotniczej. Tym tylko oraz uporem i walecznością milicji baskijskiej, słabo zresztą wyszkolonej i źle uzbrojonej, tłumaczyć sobie można długotrwałe ciężkie walki. Polepszenie się jednak warunków powietrznych i umożliwienie działań lotnictwu zmieniło od razu radykalnie położenie na korzyść powstańców.

Wszystkie umocnienia baskijskie, dobrze widoczne z powietrza, zostały dokładnie i szybko rozpoznane. Zupełny brak lotnictwa i artylerii przeciwlotniczej zadecydował o klęsce Baskijczyków. Systematyczne, nieustanne bombardowanie z powietrza, niemożność przeciwstawienia się, a w wyniku załamanie się psychiczne, zrobiły swoje“.

Już z tych urywków widać, że p. R. Z. odznacza się rzetelnym obiektywizmem fachowca. Umie on ocenić bohaterstwo katolickich Basków, jak i całej armii ludowej, widzi doskonale, która ze stron, walczących ze Pirenejami, ciągnie korzyści z polityki nieinterwencji. Najciekawsze, że w resumé swych rozważań dochodzi do wniosków, zbieżnych z tymi, które pułkownik January Grzędziński przedstawił czytelnikom polskim w „Dzienniku Ludowym“.

„Znaczenie i siła obrony stałej została w wojnie hiszpańskiej raz jeszcze potwierdzona“. Prawdę tę podkreślił niedawno i generał Władysław Sikorski, a robi to zresztą także cała fachowa prasa zagraniczna.

Pan R. Z. nie dał się uwieść dotychczasowym sukcesom rebelii. Nie chce on „bawić się w przepowiednie, kto ostatecznie zwycięży“. I ma niewątpliwie rację. Ale ograniczając się do rozważań wyłącznie wojskowych, pomija pewne niezmiernie ważne — ba, decydujące nawet — momenty, których analiza stwarza szereg przesłanek, pozwalających wskazać *w jakim kierunku* może, a nawet powinna rozwijać się sytuacja na półwyspie iberyjskim.

Ostatnie popisy faszystów (nalot na terytorium francuskie, zniszczenie portu angielskiego w Gandii, topienie okrętów francuskich i angielskich) zapewne wywołają ostatecznie jakąś reakcję ze strony państw demokratycznych. Od tej reakcji silniejsza jednak będzie napewno reakcja opinii obywatelskiej. I to zarówno w Anglii, Francji, jak i Stanach Zjednoczonych. Nędzna komedia „nieinterwencji“ ma się już ku końcowi.

Świadczą o tym mnożące się, symptomatyczne wydarzenia. Warto tu wskazać na jedno z nich — bodaj dotychczas w prasie polskiej nie omówione. *Harold Nickolson,* prezes komisji spraw zagranicznych Izby Gmin, pochodzący z powszechnie w Anglii znanej „dynastii konserwatywnej“, wystosował do Neville'a Chamberlaina list, w którym oświadczył, że, ponieważ nie godzi się z polityką zewnętrzną premiera, zmuszony jest podać się do dymisji. Aby zaś nie było żadnych wątpliwości co do motywów, które skłoniły go do porzucenia zajęć, wykonywanych nieprzerwanie od czasu Traktatu Wersalskiego, — manifestacyjnie zgłosił swój akces do „Komitetu Obrony Hiszpanii i Pokoju“.

Również ostatnie wystąpienie amerykańskiego podsekretarza stanu, Sayre'a świadczy o tym, że świat dość już ma praktyk „osi“ i „trójkąta“. Minister Stanów Zjednoczonych wyraźnie wskazał na państwa totalistyczne jako źródło międzynarodowej anarchii i realizatorów zasady: „siła przed prawem“. Przygotował też w opinii amerykańskiej grunt pod zasadniczą zmianę dotychczasowej polityki w kierunku zerwania z zasadą „wspaniałej izolacji“. A przed tym jeszcze min. Summer Welles oświadczył przedstawicielom prasy w Waszyngtonie, że rząd Stanów Zjednoczonych potępia barbarzyńskie naloty na bezbronne miasta.

Nie wdając się w żadne przepowiednie nie możemy jednakże rezygnować w przyszłości z płynącej z doświadczeń na terenie hiszpańskiej i światowej rzeczywistości politycznej. A wojna — jak nauczał stary Clausewitz — jest tylko „kontynuacją polityki przy pomocy innych środków“.

A propos złych przepowiedni. Dn. 22 stycznia ub.r. czytaliśmy w „Gazecie Polskiej“ artykuł wstępny p.t. „Strony walczące w Hiszpanii“. Autor podpisany skromnie literami K. S. zdradzał nie tylko znaczną rutynę dziennikarską, ale i zgoła zadziwiającą, czy zdumiewającą znajomość militarnego oblicza tragedii hiszpańskiej. rozmiarów sił, ścierających się na półwyspie iberyjskim, szczegółów technicznych, wyposażenia wojennego, jego walorów i możliwości.

Owa pana K. S. ocena sił, zmagających się w Hiszpanii, wypadła nader pesymistycznie dla Republiki. Stwierdziwszy pod koniec (co nie było zbyt trudne), że:

„Moskwa jest daleko i zbytnio w interwencji angażować nie może. Rzym i Berlin są o wiele bliżej i w tym leży ich przewaga“ — wydedukował następnie ze zdumiewającą logiką:

„Jeżeli zasada nieinterwencji zostanie istotnie przeprowadzona, można oczekiwać, że nadchodząca wiosna przyniesie jakieś przesilenie.

Jaki będzie jego wynik? Podany powyżej obraz powinien czytelnikowi dać elementy ułatwiające odpowiedź na to pytanie“.

Wiosna przyszła i przeszła. Jesteśmy w pełni lata. Pan K. S. nadal zapewne oczekuje tak gorąco przezeń upragnionego „przesilenia“. Ciekawe, czy równie cierpliwi są jego czytelnicy, których nieopatrznie nakarmił swymi wiosennymi nadziejami.

Pan R. Z. mógłby pouczyć swego redakcyjnego kolegę, że należy czerpać dane *także* i z angielskich czy francuskich źródeł, nie tylko z niemieckich. Nawet najrozumniejsi sztabowcy wyrażają czasem w fachowej formie swoje „pia desideria“. Konfrontacja różnych opinii nigdy nie zaszkodzi. Może przekonałaby nawet pana K. S., że jeszcze nie nadszedł czas na upragnione przezeń „przesilenie“ w Hiszpanii. A zdarzyć się nawet może, że gdy ono nadejdzie, będzie wyglądać całkiem, mimo srogiej jednostronnej „nieinterwencji“, inaczej, niż p. K. S. „jest skłonny mniemać“.

ZYGMUNT JAROSZ

Od Wydawnictwa

PROSIMY O NADESŁANIE PRZEDPŁATY ZA KWARTAŁ III

Tępienie herezji na urząd

Podszywający się pod katolicyzm hitlerowcy polscy wszelkiego autoramentu mają nielada kłopot z tym, co się dzieje w obozie katolickim za granicą. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że czołowi pisarze katoliccy w Hiszpanii opowiedzieli się po stronie republiki, przeciw włosko-niemieckiemu najazdowi. Wiadomo, że katolicy baskijscy krwią swą pieczętują wierność ideałom demokracji i wolności narodowej. Wiadomo wreszcie, że obóz katolicki we Francji, w osobach swych świeckich i — bardzo często — duchownych przedstawicieli trwa nieugięcie na pozycjach humanizmu i demokracji. Były oczywiście i we Francji wystąpienia poszczególnych dostojników kościelnych, idące po linii przeciwnej. Tu należy np. znany list kardynała Verdier w sprawie hiszpańskiej, w którym to liście purpurat francuski opowiedział się za gen. Franco. Był to jednak, o ile się nie mylimy, jedyny wypadek otwartego zaangażowania się po stronie faszyzmu przez oficjalnego przedstawiciela hierarchii kościelnej. Zresztą przyznać trzeba, że wystąpienie to było jaskrawie sprzeczne ze zwykłą postawą kard. Verdier, który — jak i cały episkopat francuski — nie angażował się nigdy po stronie reakcji.

Francuski obóz katolicki, którego politycznym wyrazem jest stronnictwo demokratów-ludowców, a organem codziennym gazeta „Aube" (prócz tego wychodzi radykalniejszy miesięcznik „Esprit" zajmuje w polityce wewnętrznej stanowisko zdecydowanie republikańsko-parlamentarne, a w polityce zagranicznej stoi na gruncie zbiorowej obrony pokoju przed faszystowską agresją i porozumienia w tym celu wszystkich państw pokojowych, demokratycznych. Katolicyzm francuski jako całość jest więc antyfaszystowski. I to właśnie spędza sen z powiek naszych rodzimych hitlerowców i hitleryzantów.

Reakcja polska, bardzo wpływowa w naszych kołach katolickich i nawet wśród duchowieństwa, czyni podziwu godne wysiłki, żeby „zgubnym" wpływom katolicyzmu francuskiego zagrodzić drogę do serc i umysłów katolików polskich. Skąd grozi największe niebezpieczeństwo? Rzecz jasna, prasa katolików francuskich, choć ma jeszcze w Polsce debit, nie przedstawia masowego „niebezpieczeństwa" — ze względów językowych. A PAT woli przecież przytaczać głosy różnych **Journalów, Jourów, Candidów i Gringoirów,** niż takiej np. **Aube,** o której istnieniu przeciętny czytelnik prasy polskiej nawet nie wie...

Pozostaje literatura: przekłady francuskich pisarzy katolickich. Tu „niebezpieczeństwo" jest istotnie wielkie. Powieści Mauriaca czytane są w najpobożniejszych domach, szerząc zniszczenie i deprawację moralną! Jad „masoństwa" i „żydo-komuny" sączy się z książek tego pisarza do serc młodzieży katolickiej w Polsce! I nie można nawet domagać się skonfiskowania tych szkodliwych utworów, zwłaszcza, że Mauriac był przyjęty przez papieża i jest sztandarowym pisarzem katolicyzmu francuskiego. Ten sam kłopot sprawia naszym ciemnogrodzianom Maritain, katolicki krytyk, filozof i esseista. Co gorsza, nawet zdecydowany reakcjonista Bernanos „psuje się": wystąpił przeciw okrucieństwom generała **Franco.**

Jedynym więc sposobem przeciwdziałania tym zgubnym wpływom katolickiego farmazoństwa jest... dyskredytowanie go w prasie. Czereda shitleryzowanych krytyków, publicystów i zwyczajnych skrybów, rozpoczęła w polskiej prasie faszystowskiej huraganowy ogień przeciw francuskiej literaturze katolickiej i przeciw humanizmowi katolickiemu w ogóle. Pewien gorliwiec przysyła od czasu do czasu z samego Lublina do „Prosto z mostu" i „Myśli Narodowej" napastliwe artykuły, w których „demaskuje" np. Maritaina jako heretyka i przestrzega przed rozpowszechnianiem w Polsce powieści francuskich autorów katolickich. Okazuje się, że strach przed katolikami francuskimi ogarnia w tym samym stopniu prasę oenerowską i staro-endecką, skoro wspomniany mędrzec z Lublina drukuje swe artykuły antykatolickie i w organie p. Piaseckiego i w tygodniku p. Zygmunta Wasilewskiego. Nawet hitlerowski tygodniczek brukowy, którego wyrocznią jest znany fenomen z nad Amazonki, zamieścił niedawno elaborat jakiegoś— pożal się Boże — „krytyka" pod wymownym tytułem: „Mauriac, pisarz niekatolicki".

Jest rzeczą znaną, jak cierpko i zgryźliwie nasza krytyka reakcyjna przyjęła piękny historyczny cykl powieściowy Zofii Kossak („Krzyżowcy" — „Król trędowaty" — „Bez oręża"). Zdaje się, że jedyna naprawdę poważna i uczciwa ocena tych powieści, pióra T. Parnickiego, ukazała się w jezuickim „Przeglądzie Powszechnym". Bo pewne, zawarte w nich, humanitarne i humanistyczne akcenty, wzbudziły w naszych kołach hitlerofilskich poważny niepokój: oto zaraza dotarła już do Polski i ogarnia polską literaturę katolicką!

Wreszcie jedno z najbardziej gorliwych pism hitlerowskich w Polsce bluznęło pomyjami, zaczerpniętymi z najplugawszych zlewów szowinistycznej, reakcyjnej i antysemickiej demagogii. Bluznęło na Mauriaca i kardynała Baudrillart, na papieża i naród francuski, na cały zachodnio-europejski humanizm katolicki.

Tego było już widocznie za wiele nawet tak pobłażliwemu dla naszych faszystów pismu, jak „Głos Narodu". Krakowski organ klerykalny udzielił tym gorliwcom bardzo ostrego upomnienia: „Trzeba sobie wyprosić tego rodzaju polemiki, jakie dokoła Maritaina i Mauriaca prowadzą nasi „arcykatoliccy" krytycy literaccy. Bo, jeśli dalej będą trwały, jeśli się im nikt nie przeciwstawi, nasi poczciwi polscy katolicy, znający Francję z powieści Dumasa, gotowi naprawdę uwierzyć, że kwiat francuskiej inteligencji z dwoma kardynałami na czele uległ herezji, popadł w ideową zależność od „Judokomuny" (wyrażenie Nowaczyńskiego), a co najsmutniejsze, znajduje uznanie u samego Papieża. Gotowi sądzić, że prawdziwy katolicyzm reprezentuje w świecie dwóch ludzi: Maurras we Francji (potępiony przez Watykan wódz „Action" — red.), a Nowaczyński w Polsce! I może jeszcze Hitler w Niemczech!"

Do tych uwag wypadało by dorzucić niezbędne, zdaniem naszym, wyjaśnienie: Katolicyzm francuski, który znajduje uznanie u papieża, nie poprzestaje na odgradzaniu się od jawnie antykatolickiego, neo-pogańskiego hitleryzmu, jak to czyni poważny odłam antyhitlerowskiego katolicyzmu w Polsce. Katolicyzm francuski bez niedomówień, bez wahań i zastrzeżeń staje na gruncie demokracji politycznej i w tym duchu prowadzi swą doczesną politykę. A cóż przeciwstawia hitlerow-

skiemu totalizmowi oficjalny katolicyzm polski? Zdaje się, że nasze decydujące czynniki katolickie nie wypowiedziały się u nas nigdy i nigdzie za demokracją! To znaczy, że nic realnego hitleryzmowi nie przeciwstawiły. I dlatego chyba mogło się zdarzyć, że czołowy publicysta tegoż antyhitlerowskiego „Głosu Narodu", ks. Piwowarczyk wystąpił niedawno z gorącą obroną i apoteozą osławionego bohatera myślenickiego.

Więszka

Żeby poznać życie nowych sąsiadów wystarczyło jednego wieczoru. Ojciec opowiadał, a Stefka, o ile tylko mogła nadążyć za jego słowami, oglądała sobie to wszystko w myśli po swojemu. Nie wykrzykiwała jednak jak Anielka: — tatuś to wszystko wie! — Przecież o drugim człowieku nigdy nie będzie się wiedziało, jak tam jest naprawdę. Naprzykład z Józefką. Mówili że jej „przypada" i każdy to mówił inaczej: dzieciaki ze śmiechem, Olek, brat przerażony, matka zaś ze współczuciem. U Stefki z tego wszystkiego wypadła: litość. Mijając Józefkę uśmiechała się do niej i wesoło zagadywała aby tylko, Boże broń, nie dać tamtej poznać, że ona, Stefka — wie. Kiedyś Józefka kopała kartofle zaraz za drogą na wprost domu Marcinów. Stefka akurat patrzyła w tę stronę, kiedy tamta jakoś się zakołowała i upadła twarzą w bruzdę. Kobiety ją podniosły, zaczęły cucić, miała pełne usta piasku i nie przytomne oczy. Od tej pory Stefka już nigdy nie rozmawiała wesoło z Józefką. Nie umiała udawać, że nie wie.

Najdłużej opowiadał ojciec o Sasinach, o Więchu powiedział krótko ale dla Stefki najwięcej.

— Ciągle czyta. Ma cały kufer książek. Potem do niej samej: — Ty byś tam miała używanie, żeby cię do tych książek dopuścił. Ale on nikomu nie pożycza.

Te dwie historie Sasinów i Więchów Stefka wybrała dla siebie, rozmyślała o nich. Szczególnie o Więchach nie można było nie myśleć. Głos starej Więszki, podobny do gdakania kilku wystraszonych kur, słychać codzień aż na kościelnej drodze: kłóci się. Niech tylko któryś z chłopaków wpadnie na jej pole, albo kura przejdzie przez miedzę. Ten głos, słyszany zdaleka, nie ma w sobie gniewu, trzeba dopiero zbliska zajrzeć Więszce w twarz. Jest wykrzywiona od nienawiści. Krzyczy z zamkniętymi oczami i Stefka wyobraża sobie zawsze, że Więszka nie kłóci się z kobietami ze wsi, że wcale nie o kury jej chodzi: krzyczy na jakiegoś wroga, którego widzi swoimi zamkniętymi oczami. Może zresztą nie jednej Stefce tak się zdaje, bo jakoś nikt na krzyk Więszki nie zwraca uwagi, nikt się nim nie przejmuje. Tylko Bronce, córce Więszki twarz ciemnieje od jakiegoś wrażenia, niewiadomo: gniewu, czy przykrości. Zawsze jest tak: Więch chodzi koło domu, Bronka jest na wsi u dziewcząt, a ona ze swoją nienawiścią pośrodku, między mężem a córką, między własnym domem i wsią. I Stefka, pomimo wysiłków, jakoś nie może sobie wyobrazić tych trojga ludzi razem, nie może ich połączyć w rodzinę. Nie pasują do siebie. Bronka jest za ładna na córkę takiego małżeństwa, zresztą jest zwyczajna i tą zwyczajnością do nich nie pasuje. Ona tylko jedna przylata do wsi, przez nią Stefka dostała się do domu Więchów. Którejś niedzieli wpadła zdyszana.

— Chodźcie do mnie! Tatek i mama pojechali do Lipin na wesele, pewno aż w nocy przyjadą. Będziemy trząść ulęgałki, bo tatek kazał wszystkie obtrząść i wsypac do stodoły.

— A jak ojciec wcześniej wróci?

— To nic. Tatek nie lubi, żeby do mnie dzieciaki ze wsi przylatywały, ale na was nic nie powie. Mówił mi któregoś dnia, że Stefkę lubi, bo się książkami zajmuje. Już koło domu Bronka dodaje, chociaż Anielka, ani Stefka nie pytają:

— A mama to się taka zrobiła od tej pory, jak Stasiek na wojnie zginął. Dawniej była zupełnie do ludzi.

Chałupa Więchów jest niska, zapadnięta w ziemię, ale bardzo długa. Pod jednym dachem dwie izby, sionka i obora z chlewkiem.

W pierwszej izbie, żeby nie wiem jak zamiatać (jak mówi Bronka) leży zawsze trochę przydeptanego gnoju, ale w drugiej, kiedy są drzwi od kuchni zamknięte, a otwarte okno od strony pola, czuć przede wszystkim stary papier, książki. Z tego okna widać o wiele więcej, niż od domu Stefki: z jednej strony Ossów i Nobylak, a od wschodu daleki las ręczajski, który teraz w jesiennym powietrzu jest zupełnie niebieski. To wszystko zdążyła Stefka zauważyć, przechodząc przez izbę do stolika z książkami. Potem już tylko czytała. Drugi raz w życiu przeżywała tę dziwną i wielką radość. Pierwszy raz, gdy wyjeżdżała z Wólki. Cieszyła się, że zobaczy świat. A teraz miała tyle książek!

Ze sprawami Więchów nie jest tak łatwo, żeby przyjść, zobaczyć i już się wie co było i mniej więcej, co będzie dalej. Poza szkołą te sprawy są teraz najważniejsze dla Stefki, bo jeszcze nie poznane. Chodzi do Więchów co dzień. Bronki i starego po obiedzie nigdy nie ma w domu, mają robotę w polu, albo w stodole. Więszka kręci się koło garnków, to jej całe zadanie obrządzać bydło i gotować jedzenie dla męża i córki. Kiedy zobaczy Stefkę, woła przerażona:

— To ty już ze szkoły! A ja jeszcze statków po obiedzie nie zdążyłam zmyć. Znów się będzie darł, że na pole nie przyszłam. Domowa robota to tak: kręć się, lataj od świtu do nocy i nie znać, coś zrobiła. Przestawia sagany, podkłada torfu na ogień, a potem kiedy Stefka już otworzyła książkę — podchodzi do niej, kładzie głowę na kolanach.

— Moja Stefciu, moja złota zobacz no ty mi w głowie. Tak mnie gryzie, że sobie rady dać nie mogę!

Między pasemkami pozlepianych włosów latają drobniutkie białe wszy i Stefka długo musi przełykać ślinę, zanim ze ściśniętego obrzydzeniem gardła może wydobyć głos i przemówić dość swobodnie, tylko z lekką wymówką:

—Dlaczego Więszka głowy sobie nie umyje? Ja bym raz i drugi porządnie zlała naftą, po tym w gorącej wodzie umyła i już po wszach!

— A wiesz ty, kiedy ja ostatni raz myłam głowę? Trzydzieści lat temu na swoje wesele. Taki mnie wte-

dy ból złapał, że aż zemdlałam. Teraz nie myję. Chyba, że mi po śmierci sami umyją.

— No, ale porządnie Więszce głowę przeczyściłam. Aż mnie paznokcie bolą.

— Duża rośnij Stefciu, ja wiem, że ty jesteś dobry dzieciak bo, moją Bronkę, to świętymi słowami nie uprosi. Dawniej, jak Stasiek żył...

— Za to Więszka nie będzie się ze mną kłóciła, dobrze? — przerywa prędko Stefka.

— Z tobą? A o co miałabym się z tobą dzieciaku kłócić? To ty myślisz, że ja tak o byle co aby się drzeć? Nie bój się, ja wiem o co krzyczę! Jak na mnie, to wariatka, flondra i już nie wiem jak, a mój chłop to im dobry. Wejdę nieraz w najlepsze myśli: — Antoś, mówię, na obiad. A ona siedzi na podłodze rozpięta do pasa, niby to słucha, jak mój gazetę czyta. Że jej chłop na to nic nie mówi, to ja muszę krzyczeć. I wcale nie przez zazdrość mówię ci Stefcia, nie. Ale swojego — nie dam. To jeszcze im mało, że Stasiek zginął!

Tak jest zawsze. Żeby nie wiem o czym zacząć, zawsze się tym jednym skończy. Nienawidzi każdego człowieka i wszystkich ludzi razem za to jedno: za śmierć syna. Stoi teraz przed Stefką z zaciśniętymi rękami, z twarzą wykrzywioną od nienawiści. Stefka milczy. Niech tamta wyrzuci z siebie gorycz, to lepiej. Żeby tylko na tę chwilę nie nadszedł Antoni. Pod jego zawsze zagniewanymi oczami robi się bezradna i niepotrzebna. Prędko nalewa im obojgu, córce i mężowi, na miski kolację, sprzątnie pocichu jak zjedzą i siada koło komina do obierania kartofli na jutro dla siebie, dla psów i dla prosiaka.

Bronka bierze książkę, siadają obydwie z Anielką na kufrze między łóżkiem i stołem i objęte w pół czytają razem. Bronka głośno a Anielka za mną słowo po słowie, pocichutku. Anielka jest śmieszna kiedy tak porusza ustami bez głosu, ale jeszcze śmieszniejszy jest Więch. Pochylony, w wielkich okularach na nosie, reperuje jakieś kolorowe Brończyne sukienki. Z początku krył się z tym szyciem przed Stefką, ale kiedyś zaszła go tak niespodzianie; uśmiechnął się ale powiedział złym głosem: — Co ja zrobię, jak moje gospodynie nie potrafią igły wziąć do ręki. Od tej pory już zawsze słuchał czytania Bronki i coś szył. Sapał, stękał, odpruwał, nieraz zaklął pod nosem, ale słuchał uważnie, nie przepuścił ani jednego słowa.

Stefka siedzi osobno gdzieś koło pieca między Więszką a tamtymi. Dla niej treść nie istnieje. Wyławia sobie jakieś pojedyńcze wyrazy, kawałki zdań, od których Więchowa izba, nie — cała wieś robi się zaciasna. Słowa: morze, góry albo: „wjechali teraz w szeroki jar". Jeżeli wieczór jest ciemny, za oknem wieje wiatr i siecze drobniutki jesienny deszcz — Stefka nie może słuchać takich słów. Wychodzi z izby.

Na zagacie, pod oknem skulona siedzi Więszka. Nawet nie wiadomo, kiedy wyszła, podrywa się przestraszona, ale poznała Stefkę i zostaje.

— To ty Stefciu? Ja sobie tak tylko wyszłam popatrzeć, jak na świecie. Otuliła się chustką. — Mnie nawet nie jest zimno na tych kołkach tłumaczy się przed Stefką. — A przysuń się tu bliżej do mnie, to ci coś pokażę.

Stefka przykucnęła.

— Popatrz no ty się na tamtą gwiazdę, o tam nad Turowem. Jak myślisz, czy to jest taka sobie zwyczajna gwiazda?

— Ja myślę...

— A wcale nie. Ja tu na nią codziennie od piętnastu lat patrzę i powiem ci Stefka: to jest poligońska gwiazda. Żołnierska. Żołnierzom świeci. Żeby nie wiem jak było pochmurno, mgła, — zawsze jest w tym samym miejscu i zawsze taka jasna. Nie bój się, znam ją dobrze, bo co wieczór muszę na nią popatrzeć. Od tamtej pory jak Stasiek zginął.

— Niech Więszka prędko idzie do izby, Antoni już mówił, że czas spać, ja tylko Anielkę zawołam i lecimy.

Noc jest poprostu czarna. Anielka pewno się trochę boi, bo mocno ściska Stefkę za rękę, biegną na pamięć po miękkiej ścieżce.

Z jakiegoś miejsca tej czerni wysuwa się jak fantastyczny pociąg — pociąg, przecina ją i ucieka. — W świat, zdążyła pomyśleć Stefka, znów przez chwilę uczuła mocny piekący ból, pociągnęła Anielkę, żeby już prędzej być w domu i już koło murowanki dogania je przeciągłe głośne wołanie Więszki.

— Stasiu! W tym pierwszym jest oczekiwanie i tęsknota. Potem znów. — Stasiu! głośniej jeszcze. I wreszcie z gniewem, gwałtownie: Staszek!

ZOFIA GOŹDZIEJEWSKA

Na widowni polskiej i światowej

MĘŻOWIE, KTÓRZY — ZNIEWAŻYLI SZLACHETNE TRADYCJE.

„Manchester Guardian Weekly" zamieścił artykuł p. t. „Dwie Anglie", bardzo znamienny dla obecnych nastrojów opinii brytyjskiej. Ukazuje on, jaka przepaść nieprzebyta dzieli niektóre posunięcia premiera Chamberlaina i lorda Halifaxa od poglądów i pragnień angielskiego społeczeństwa. Przytaczamy urywki artykułu:— „Żądania Włoch nazwał lord Cranborne szantażem. Acz odrzucone przez premiera, określenie to uzyskało nieodparte potwierdzenie zarówno w mowach Mussoliniego, jak w działalności lorda Halifaxa. Mussolini oświadczył, iż nie może dojść do porozumienia z Francją, ta bowiem nie podziela jego pragnień, aby Franco zwyciężył w Hiszpanii i zgodziliśmy się nie czynić nic, co by temu przeszkodziło. Między genueńską mową Mussoliniego a genewskim postępowaniem lorda Halifaxa zachodzi doskonała zgodność. Albowiem lord Halifax daje do zrozumienia, iż nie ma granic nasza ustępliwość. W 1935 roku, z inicjatywy brytyjskiego ministra — Liga Narodów uznała najazd na Abisynię za „niesprowokowaną agresję". Niedawno lord Halifax wyjaśnił, że Mussolini żąda za cenę utrzymania pokoju w Europie uznanie podboju w Etiopii. Na tej podstawie lord Halifax zażądał zagłady Abisynii i nagrodzenia Włoch. Hiszpania, członek Rady Ligi, zażądała rozpatrzenia doznanych krzywd. Jej terytorium napadły dwa obce państwa. Fakty są niezaprzeczone, lecz obu obcych państw — choć opuściły Li-

gę — nie powinno się urażać, gdy rząd hiszpański, dochodzący swych praw, nikomu niczym nie grozi. Żądania Mussoliniego są upokarzające, lecz mają posłuch.

...Jedna sprawa jest oczywista: zależy nam na przyjaźni Franca. Rząd uznaje to za tak oczywisty pewnik, że nie dba już nieomal o zatapianie brytyjskich statków; bombardowanie ich stało się częścią codziennych popisów Franca. Wie bowiem, że gdy jesteśmy na serio źli, nie przemawiamy tak, jak do niego, lecz tak — jak do Meksyku.

...Mr. Chamberlain i lord Halifax upamiętnią się w dziejach Brytanii, jako ci, którzy *znieważyli wszystkie szlachetne tradycje naszej polityki* i po raz pierwszy pchnęli Anglię na stronę państw, które chcą gwałtem i przemocą narzucić swą wolę Europie.

Jeśli istnieje Anglia, obca tym tradycjom i reprezentowana przez lorda Halifaxa w Genewie, istnieje również druga Anglia, nierozerwalnie i najsilniej związana z tradycjami, które dziś zostały zdradzone".

CO III RZESZA DAŁA SAARZE?

Od chwili powrotu Saary do Rzeszy ceny kształtowały się w sposób następujący:

	Cena w Reichsmarkach. w r. 1935:	obecnie:	Wzrost %%
1 funt chleba	—.14	—.16	14%
1 „ mięsa	—.59	—.90	52%
1 „ szmalcu	—.42	1.20	120%
1 „ tłuszczu	—.16	—.70	338%
1 „ kawy	1.25	2.—	60%
1 „ cukru	—.30	—.42	40%
1 „ mąki	—.15	—.24	60%
1 litr oleju	—.08	—.18	145%
1 jajko	—.08	—.13	63%

BLIŻEJ INNITZERA NIŻ FAULHABERA

Obradujący w Fuldzie episkopat niemiecki postanowił nie publikować na terenie Rzeszy znanych tez antyrasistowskich, wydanych przez Św. Kongregację Uniwersytetów i Seminariów, najwyższą instancję wyższego szkolnictwa katolickiego. Swoją powściągliwość motywują ks. ks. biskupi pragnieniem unikania wszelkich zadrażnień między władzami hitlerowskimi a kościelnymi w Niemczech. Ale w zwyczajnym, świeckim języku postępowanie takie nazywa się oportunizmem i kapitulacją. I trzeba je ocenić tak samo, jak głośne już i kompromitujące ukorzenie się kard. Innitzera. Bo jest to przejaw tego samego „realizmu" politycznego.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Mały Rocznik Statystyczny 1938. Warszawa 1938. Nakładem Głównego Urzędu Statystycznego Rzeczypospolitej Polskiej.

Dr Janina Garbaczowska: Zagadnienie państwowości polskiej w beletrystyce współczesnej. Lwów 1938. Wydawnictwo Koła Naukowego Asystentów U. J. K. Nakładem Księg. R. Schweitzera.

Janusz K. Urbach: Udział Żydów w walce o niepodległość Polski. Warszawa 1938. Nakładem Związku Żydów Uczestników walk o niepodległość Polski.

Joachim Metallmann: Deferminizm i pojęcie emergencji w biologii. Odbitka z rocznika XLI „Przeglądu Filozoficznego". Warszawa 1938.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5013 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.